



SZCZECIN



Tygodnik Pomorza Zachodniego

ROK III.

16 - 22 MAJA 1948 R.

Nr. 20 (94)

PRZYJACIELE CZESKOSŁOWACCY

Jest rzeczą podziwu godną, jak szybko rozwija się i utrwała przyjaźń polsko-czeskosłowacka, jak łatwo opadają sztuczne bariery, jak giną wzajemne, ongiś sztucznie podsypane uprzedzenia. Oba nasze narody znalazły się na wspólnej drodze, wspólne są nasze troski i radości, trudności i sukcesy.

Szczecin, a zwłaszcza nasz port — to jeden z naistotniejszych węzłów tej przyjaźni. Wyrazem tego była niedawna wizyta w Czechosłowacji przedstawicieli społeczeństwa szczecińskiego z Wojewodą Borkowiczem na czele — a ostatnio szereg wizyt czeskosłowackich w Szczecinie. Nie są to bynajmniej wizyty tylko kurtuazyjne — chodzi o sprawy konkretne, których realizacja nastąpi już w krótkim czasie.

Przybyła więc niedawno do Szczecina liczna grupa wybitnych dziennikarzy czeskosłowackich — w najbliższym czasie dziennikarze szczecińscy odwiedzą swoich kolegów w Czechosłowacji. Prasa obu narodów w dziele wspólnego zbliżenia ma do spełnienia jedną z naczelnych ról, to też znaczenie tych wizyt nie wymaga specjalnego podkreślenia.

Ostatnio gościł również Szczecin przedstawiciel czeskosłowackich sfer gospodarczych. Szczegóły o tych wizytach znajdując nasi Czytelnicy na stronicy 5 „Szczecina”. Na tym miejscu pragniemy zapoznać Czytelników z przebiegiem rozmów na temat żywo wszystkich obchodzący — udziału Czechosłowacji w rozbudowie portu szczecińskiego przez stworzenie czeskosłowackiej strefy wolnocłowej.

Przedstawiciele czeskosłowackich sfer gospodarczych podejmowała szczecińska Izba Przemysłowo-Handlowa. Ze strony polskiej podkreślano słusznie, że sprawę czeskosłowackiego tranzytu przez porty polskie rozpatrujemy dziś w szczególności sprzyjającej atmosferze. Wy suwane przez stronę czeskosłowacką podczas poprzednich wizyt zarzuty, utrudniające finalizację rokowań, stały się dziś w większości bezprzedmiotowe. Przypomnijmy tu pokrótce jakie to były zarzuty.

Mówiono więc o wadliwej i bardzo dla Czechosłowacji niekorzystnej strukturze kolejowych tariff tranzytowych, o zbyt długotrwałym przelocie wagonów kolejowych w ruchu tranzytowym, o unieuruchomieniu najkrótszych linii kolejowych, o niedostatecznym taborze rzeczonym na Odrze, o niekorzystnym dla Czechosłowacji kursie przeliczeniowym przy rozrachunkach za transport, wreszcie o brakach technicznych portu szczecińskiego i braku regularnych połączeń żeglugowych portu szczecińskiego z innymi portami.

W ostatnim półroczu zmieniło się jednak bardzo wiele. Sprawa transportu kolejowego, tariffy i rozliczeń walutowych rozstrzygnięta została dla Czechosłowacji pomyślnie. Port szczeciński z każdym miesiącem coraz bardziej usprawnia i rozbudowę własne urządzenia techniczne. Linie żeglugowe powstawać będą w miarę istotnych zapotrzebowań. Tabor rzeczony na Odrze wzbogacił się dzięki przerzuceniu tabo-

ru czeskosłowackiego z Łaby na Odrę. Słowem istnieją już wszystkie elementy, by sprawa tranzytu czeskosłowackiego przez port szczeciński ruszyła na przód.

Rozumie to doskonale również i strona czeskosłowacka, co znalazło swój wyraz w szeregu odbytych konferencji. Istniejące jeszcze różnice zdań dotyczą jedynie szczegółów. Tak np. część delegacji czeskosłowackiej proponuje, by zasypiano wylot Kanału Duńczyckiego i po połączeniu z Wyspą Grodzką stworzono nowy basen dla strefy wolnocłowej. Ze strony polskiej proponuje się raczej oddanie na ten cel umocnionego i rozbudowanego nabrzeża na „Ewie”, przy czym proponowany teren obejmujący około 24 ha, podczas gdy teren na Duńczyckim obejmowałby tylko 12 ha. Poza tym Wyspa Grodzka podczas wylewów bywa zamulona, natomiast „Ewa” położona jest na trzy do czterech metrów nad poziomem Odry.

Sprawa ostatecznego wyboru miejsca dla czeskosłowackiej strefy w porcie szczecińskim niewątpliwie w najbliższym już czasie będzie zdecydowana i do odpowiednich robót będzie można

przystąpić jeszcze w bieżącym roku.

Omawiano również sprawę powołania w Szczecinie czeskosłowackiej placówki konsularnej. Poza tym stwierdzono, że istnieją nieograniczone możliwości, gdy chodzi o wymianę turystów i czasosłowców pomiędzy Polską a Czechosłowacją i niewątpliwie będzie to najlepsza droga do zacieśnienia węzłów przyjaźni pomiędzy obydwojma narodami.

Przyjazd Min. Clementisa

Dowiedujemy się w ostatniej chwili o zapowiedzianym w dniach najbliższych przyjeździe do Szczecina Ministra Spraw Zagranicznych Czechosłowacji Clementisa. Przyjazd ten pozostaje w związku z objęciem przez Czechosłowację terenów, przeznaczonych na strefę wolnocłową w porcie szczecińskim.

Min. Clementis przybywa do Szczecina w drodze przez Warszawę i Gdańsk. Drogę z Gdańska do Szczecina Min. Clementis przebędzie morzem, prawdopodobnie na O.R.P. „Blyskawica”. Ministrowi czeskosłowackiemu towarzyszą przedstawiciele Rządu Polskiego.

Wizyta Min. Clementisa w Szczecinie będzie miała charakter wielkiej manifestacji szczerej i coraz bardziej pogłębiającej się przyjaźni polsko-czeskosłowackiej.

Konkurs na pracę marynistyczną

Ostateczny termin upływa 31 maja 1948 r.

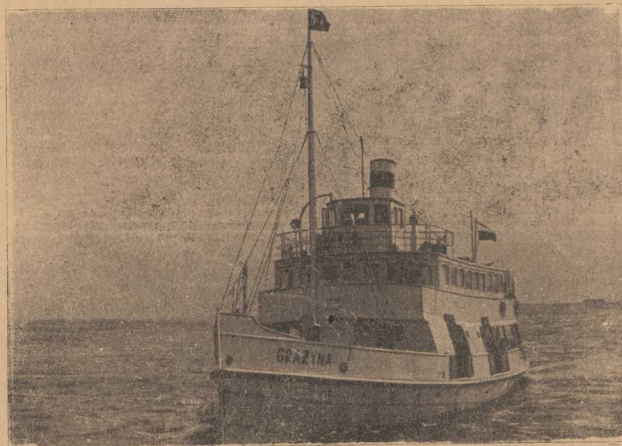
W styczniu 1948 r. ogłosiliśmy konkurs tygodnika „Szczecin” na pracę marynistyczną, o nagrodę Zarządu Miejskiego w Szczecinie, w wysokości 50.000 zł. Ostateczny termin zamknięcia konkursu upływa dnia 31 maja 1948 r.

Przypominamy warunki konkursu:

Przewidziane w konkursie prace — to nowele, opowiadania lub reportaże, tematycznie związane ze środowiskiem Szczecina. Rozmiary prac nie mogą być mniejsze, niż 6 stron pisma maszynowego.

Nagroda może być podzielona na trzy części, mianowicie I — 25.000 — zł, II — 15.000 — zł, III — 10.000 — zł, według uznania Sądu Konkursowego w skład którego wchodzi: Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Prezydent m. Szczecina, po jednym przedstawicielu: O.K.Z.Z., — Klubu Artystyczno-Literackiego w Szczecinie, Związku Zawodowego Dziennikarzy R.P. Oddział w Szczecinie, oraz redaktor tygodnika „Szczecin”.

Prace winny być nadesłane pod adresem: Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41, Redakcja tygodnika „Szczecin”. Na kopercie należy zaznaczyć: „praca konkursowa”, na odwrocie koperty nie należy podawać ani nazwiska ani adresu autora, a jedynie godło (pseudonim). Do koperty wraz z pracą należy włożyć mniejszą kopertę zapieczętowaną godłem autora. W tej kopercie, która otwarta będzie dopiero po zakwalifikowaniu prac, przez Sąd Konkursowy, należy umieścić kartkę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem autora.



PAROWIEC „GRAZYNA”

Mocne podstawy

Po zjeździe Przemysłowym, jesienią roku ubiegłego, region Szczecina stał się sztandarowym obiektem państwowego planu gospodarczego. I wówczas to wszelakiego autoramentu Bęcwałscy hasła aktywizacji przeciwstawili swój mizerny „realizm”: Nie uda się, kredyty nie dojdą, nie wytrzymamy tempa inwestycji.

Bęcwałskich i tym razem spotkał przykry zawód. Przeprowadzona ostatnio szczegółowa analiza dokonanych i rozpoczętych prac wykazała, że pierwszy etap aktywizacji Szczecina został wygrany, że mimo olbrzymich trudności, braku sprzętu, niedostatecznej ilości fachowców — doprowadzono do tego, że zdolność przeładunkowa portu szczecińskiego dochodzi już obecnie do 250 tys. ton miesięcznie, co pozwala na wykonanie planu, przewidującego na rok 1948 zdolność przeładunkową 2,5 miliona ton. Kredyty inwestycyjne dotarły na czas i stopniowo są uruchamiane, na wielu odcinkach pracy poszły nawet szybciej niż oczekiwano. W roku 1949 zdolność przeładunkowa portu szczecińskiego wyniesie — gdy chodzi o węgiel — 5,5 miliona ton, oraz około miliona ton innych przeładunków. W dalszym etapie plan sześcioletni przewiduje, że w roku 1955 port szczeciński przeładowywać ma około 15 milionów ton węgla, 3,5 miliona ton rudy i 1,5 miliona ton drobnicy. By uprzytomnić sobie co oznaczają te cyfry, wystarczy stwierdzić, że obroty portowe z najstarszych i najlepiej zaopatrzonych portów europejskich, jakim jest Antwerpia, wahają się w granicach 20 milionów ton. Ze się tak stało, że pewnymi krokami zmierzamy do realizacji niezmiernie trudnych a dla państwa olbrzymiej doniosłości zadań — to dlatego, że oparliśmy się przede wszystkim na własnych siłach. Sprawozdania stwierdzają, że krajowy przemysł pokrywa luki, powstałe z niedotrzymania terminów przez przemysł zagraniczny.

Ze realizacją planu inwestycyjnego posiada mocne podstawy — to również i przede wszystkim dlatego, że kierowana jest jedną myślą i wolą. Nie ma i być nie może jakiejś sztucznej i nikomu niepotrzebnej „konkurencyjności” pomiędzy zespołem inwestycji ośrodka Gdańsk — Gdynia a Szczecinem. Ta sama myśl, ta sama wola, która zapewni planową odbudowę i rozbudowę gospodarki całego wybrzeża, dysponuje sprzętem, aparatem fachowym, siłą roboczą — w jednym dla wszystkich ośrodków i regionów wspólnym celu: człowiekowi w Polsce zapewniłoby być musi dobrobyt, państwu polskiemu siła.

F. J.

WOJCIECH ILCZYŃSKI

Życiorys rzeki granicznej

Uwagi o monograficznym opracowaniu zagadnień Odry

Artykuł ten rozpoczynam od wypowiedzenia kilku uwag, które nie będą miały nic wspólnego z Monografią Odry*). Nie będą one również żadną aluzją w stosunku do jej autorów. Proszę mnie o to nie posądzać. Ale ponieważ monografia ta jest w znacznej mierze dziełem historycznym — po prostu korzystam z okazji, aby wypowiedzieć kilka uwag o charakterze najogólniejszym. Bo o co chodzi?

Należało by szczerze powiedzieć, że czytanie polskiej literatury historycznej, zwłaszcza w opracowaniach popularnych, jest nieraz wątpliwą przyjemnością.

Każdy przeciętny inteligent, który wyniósł ze szkoły trochę ogólnych wiadomości i utrwalił sobie w pamięci pewną ilość historycznych faktów, dat, nazwisk i miejscowości, uzupełniając później tę „wiedzę” czytaniem prasy, przezuwającej z niezmordowaną wytrwałością te same fakty w seryjnej produkcji artykułów z okazji niekończących się „rocznic” — doznaje przykrego uczucia rozczarowania, gdy pewnego dnia dostaje jakieś wydawnictwo, w którym znów, od początku wygarniają mu tak dobrze znane i spowszedniałe od ciągłego powtarzania sprawy.

Nasi czcigodni popularyzatorzy historii posiadają dwie fenomenalne umiejętności: banalizowania przeszłości i dowodzenia „głupoty” dawnych kierunków politycznych.

Znamy aż do obrzydzenia ten mentorski ton: zawsze z nieodpartą siłą wynijka z niego ten sam wniosek: — gdybyśmy to my rządzieli w dawnych czasach!..

Tej specyficznej metodzie komentowania zjawisk politycznych należy prawdopodobnie przypisać pewną niechęć czytelnika do literatury historycznej. Nie ma on już nadziei znalezienia w tej literaturze czegoś rewelacyjnego; nie wykracza ona poza ustalone barierki rozpraw akademickich; jest nudna, banalna i zawsze przyprawiona sosem patetycznym.

O żadnej sprawie w Polsce nie napisano w ciągu trzech lat tylu broszur i artykułów, co o Ziemiach Zachodnich od maja 45 roku. Problem był niewątpliwie poważny, wymagał popularyzacji, chociaż nie w takiej skali, jak wyobrażali sobie niektórzy nasi naukowcy. Ostatecznie, jeżeli przesiedleńca z Buga, czy reemigrant znalazł się w Szczecinie, Wrocławiu, Wałbrzychu, Jeleniej Górze, lub na gospodarstwach rolnych w okolicach tych miast — to ani tego przesiedleńca, ani reemigranta nie trzeba było tak gwałtownie przekonywać o korzyściach, wynikających z odzyskania Ziemi Zachodnich; nie wymaga propagandy, a co do służności której nikt nie ma zastrzeżeń.

Alte stało się. Nasi naukowcy uważali za konieczne odrobić to, co powinni byli zrobić w okresie przedwojennym i wojennym. Obdarzono więc nas po wojnie literaturą Ziemi Zachodnich.

Nie przeczyamy — zrobiono dużo. Na rynek księgarski rzucono mnóstwo wydawnictw. Ale jaka była ich wartość? Jeżeli ktoś miał ambicję kolekcjonowania tej literatury, napewno nie dorobił się imponującej pod względem treści biblioteki. Z wyjątkiem nielicznych opracowań, nie przedstawia ona niemal żadnej wartości; jest to typowa „propaganda” ze wszystkimi wadami pośpiesznej, często dyletanckiej roboty.

Niedostateczne przygotowanie naszych środowisk naukowych spowodowało ogromny chaos nawet w sprawie

tak istotnej dla Ziemi Zachodnich, jak nazwy, związane z tymi ziemiami, z których wiele do tej pory nie zostało definitywnie ustalonych i wciąż jeszcze są one przyczyną nieporozumień i dezorientacji.

Nic też dziwnego, że ze zrozumiałym niepokojem bierzemy do rąk każde nowe wydawnictwo o tematyce Ziemi Odzyskanych. Ciekawości przewyższa uprzedzenia. Oczekujemy solidnych opracowań. Tymczasem niekończące się publicystyczne popisy naszych naukowców na temat nazwy jakiegoś miejscowości, rzeki, góry, jeziora, historycznego faktu, lub historycznej postaci zaczynają być irytujące. Wolelibyśmy, aby te sprawy załatwiano dyskretniej, między sobą, na seminariach i w prywatnych dyskusjach.

Jest to sprawa przykra, ale może lepiej i to powiedzieć otwarcie, że wielu z naszych młodych naukowców nie posiada poczucia humoru i nie zdaje sobie sprawy, że niektóre ich wyczyny polemiczne są śmieszne i kompromitujące nie tylko ich nazwiska, ale przede wszystkim sprawę, o którą często z taką pasją usiłują kruszyć kopie.

Dlaczego o tym mówię? Bo okazuje się, że oprócz wątpliwej wartości prac pseudo-naukowych o charakterze propagandowym stać nas jednak na poważne wydawnictwa naukowe.

Instytut Zachodni zdobył się na olbrzymi w naszych warunkach wysiłek opracowania monumentalnego dzieła, obrazującego wszechstronnie całość zagadnienia Odry. Powstała księga z mnóstwem materiału ilustracyjnego, wykresów, tabel, map i ze słownikiem nazw geograficznych na końcu. Dzieło wzbudza zaufanie nie tylko swoją objętością i starannym wydaniem. Na karcie tytułowej umieszczono nazwiska znanych pracowników naukowych.

Otwieramy tę księgę z respektem, jakimi odczuwamy dla rzetelnego trudu ludzi nauki. A więc, nie jest to byle jaka impreza, lecz rezultat poważnej zespołowej pracy ludzi, którzy mieli coś do

powiedzenia o Odrze. Forma, w jakiej zdecydowali się wypowiedzieć, może być — jak zwykle w takich okolicznościach — przedmiotem zastrzeżeń. Zapewne, nie jest to „Nil” Emila Ludwiga, nie jest to literacka epopea Odry. Szkoda jednak, że nie jest to również w pełnym tego słowa znaczeniu monografia.

Redakcja zastrzega się zaraz na wstępie, że „tytuł monografii Odry jest dziedzictwem zamierzeń, nie odpowiada w całej pełni treści oraz układowi wydawnictwa, będącego raczej zbiorem studiów monograficznych, oświetlających wielostronne zagadnienie Odry, niż jednolitą monografią”.

Monografia Odry była potrzebna i, mimo pewnych zastrzeżeń, przyjmujemy ją, jako wydawnictwo pożyteczne. W cyklu omówionych w niej zagadnień znajdujemy wyjaśnienie wielu niepewności i uzupełnienie swej wiedzy o Odrze.

Cykl ten rozpoczyna profesor Uniwersytetu Poznańskiego, Zygmunt Wojciechowski, omawiając polityczne znaczenie Odry w czasach historycznych. Jest to krótki, świetnie napisany szkic o zmiennych losach dorzecza Odry od czasów najdawniejszych aż do ostatnich aktualnych wydarzeń. Na osiemnastu stronicach, ilustrowanych pięcioma mapami, nie można było tego zrobić zwięźle, precyzyjnie i z większą swadą.

Profesor tego samego Uniwersytetu — Mikołaj Rudnicki — omawia nazwy Odry i jej najważniejsze dopływów. Doświadczamy się tu m. in., że nazwa rzeki posiadała w dawnych czasach wiele form — Odera, Odora, Oddere, Odere, Oddore, Oddera, nigdy jednak nie zmieniła swego istotnego, polskiego znaczenia Odry, czyli „rzeki, która od dzier a brzezi i przedziera się przez kraj”, tworząc tzw. odrzyska, czyli zlewiska wodne. Autor przeprowadza w podobny sposób szczegółową analizę nazw wszystkich ważniejszych dopływów i jezior.

Geologię dorzecza Odry — terytorialne składniki geologiczne dorzecza, synklinę i związek biegu rzeki ze strukturą geologiczną — opracował prof. Edward Passendorfer.

Morfologię dorzecza i doliny opracowali: doc. Bogumił Krygowski i prof. Rajmund Galon; obszar ujściowy Odry — prof. Maria Czekańska; ważne cechy klimatu dorzecza — prof. August Zierhoffer; hydrologię Odry — inż. Zbigniew Kajetanowicz; jeziora dorzecza — mgr Stefan Majdanowski; charakterystykę hydrograficzną — dr Jerzy Młodziejowski; przyrodę zwaną doliny Odry i jej ochronę — prof. Adam Wodiczko, doc. Zygmunt Czubiński i doc. Jarosław Urbanski; osadnictwo nad Odrą — prof. Maria Kiełczewska-Zaleska; handel odrzański w rozwoju historycznym — prof. Andrzej Grodek; regulację Odry i rozbudowę urządzeń technicznych — inż. Artur Born; obudowanie ujścia Odry, porty morskie Świnoujście i Szczecin — kpt. K. Bartoszyński.

Wymienienie tych nazwisk i tematów może dać Czytelnikowi najogólniejsze wyobrażenie o całości monografii. Trudno porównać w artykule na szczegółowe omawianie każdej z zamieszczonych w niej prac. Musielibyśmy mieć jeszcze kilka takich monografii, aby można było na ich podstawie przeprowadzić jakieś porównania. Tymczasem jest to pierwsza, pionierska praca tego rodzaju.

Monografia ta nie ma nic wspólnego z „propagandą”. Jest dziełem rzetelnych studiów i rzetelnych ambicji wydawniczych. Nie udało się wprowadzić — jak twierdzą sami redaktorzy tego dzieła — „stworzyć monografię w skali planowanej pierwotnie”, ale doceniamy w pełni wysiłek, jakiego dokonano.

Każdy, kto z jakichkolwiek powodów zainteresuje się Odrą, historią przemian politycznych i rozwojem stosunków gospodarczych w jej dorzeczu, znajdzie w tej książce bogactwo informacji. Szkoda tylko, że jest zbyt droga: dwa tysiące złotych — to o wiele za dużo, jak na możliwości czytelnika. Ale ostatecznie, nie jest ona przeznaczona do masowego kolportażu. Wystarczy, jeżeli się znajdzie w bibliotekach publicznych, w szkołach, urzędach, redakcjach.

DZIENNIK BERLIŃSKI

PONAD 30 STRONNICTW
POLITYCZNYCH

Ilość stronnictw politycznych w Niemczech osiągnęła już prawie stan z roku 1932, kiedy to do parlamentu wystąpiło 39 stronnictw. Dzisiaj liczba partii politycznych w Niemczech przekroczyła już trzydziestkę. Obok wielkich stronnictw politycznych są to na ogół stronnictwa o znaczeniu lokalnym, występujące przede wszystkim w terenach przygranicznych i w Niemczech południowych i zachodnich. Stronnictwa te walczą o lokalne interesy poszczególnych grup ludności.

W wyborach komunalnych w północnej Nadrenii wystąpiła t. zw. „Rheinische Volkspartei” (nadreńska partia ludowa) za utworzeniem państwa nadreńskiego. Partia ta łączy częściowo separatystów z roku 1923, jej właściwe oblicze jednak odsłania fakt, że przeciwstawia się ona socjalizacji i dąży do powiązania gospodarczego z kapitałem amerykańskim. W Akwizgranie działa „Rheinische Union” (Związek nadreński), który domaga się przyłączenia Nadrenii do gospodarki i polityki do krajów Beneluxu. Partia dąży do osobnego „traktatu pokojowego” Nadrenii z aliantami.

W Monachium powstało stronnictwo „Republikanische Union Deutschlands” (republikanicki związek niemiecki), które przeciwstawiając się czynnie lewicy, wypowiada się za „demokracją anglo-amerykańską”. Były komisarz policji, Lallinger w Monachium utworzył również własną partię pod hasłem „Bawaria dla Bawarczyków”. Partia ta domaga się wyłączenia z Bawarii wszystkich Niemców,

którzy osiedlili się tam po roku 1933, i pragnie widzieć Bawarię jako państwo samodzielne, związane z wszystkimi mocarstwami świata.

Inne stronnictwo, pod nazwą „Bayernpartei” pracuje nad „bawarską rewolucją narodową” i również propaguje zamknięcie granic i wysiedlenie Prusaków. Stronnictwo zbiera fundusze, by 33 posłom parlamentu barwarskiego, którzy w roku 1871 głosowali przeciwko połączeniu się z Związkiem Północnych Niemiec, wystawić pomnik dziękczynny.

Hrabina Maria von Bredow stworzyła t. zw. „Nową Partię” (Neue Partei), w której cel jest skromny: umieszczenie na posadach wszystkich ludzi jej zdaniem do tego wykwalifikowanych. Jest to stronnictwo, którego program przewiduje likwidowanie różnic społecznych i narodowych „w tygłiu miłości” (im Schmelztiegel der Liebe).

Hamburska „Deutsche Partei” pragnie utworzyć również stronnictwo w Berlinie z celem „złączenia patriotycznych sił anty-bolszewickich”.

Takich stronnictw jest w Niemczech dosyć wiele. Znamienną cechą jest, że liczba małych stronnictw powiększa się stale przez rozbitcie i tworzenie grup w ramach samych stronnictw. Stronnictwa te na ogół obejmują prawicę i światło burzuzajny. Warto przypomnieć, że przed Hitlerem istniało w Niemczech „stronnictwo legalizacji cesarskich banknotów tysiącmarkowych”. Podobnego stronnictwa w Niemczech jeszcze nie utworzono, nastąpi to niewątpliwie po zapowiedzianej reformie walutowej.

Edward Kmiecik

*) „Monografia Odry”. Studium zbiorowe, opracowane przez K. Bartoszyńskiego, A. Borna, M. Czekańską, Z. Czubińskiego, R. Galona, A. Grodka, Z. Kajetanowicza, M. Kiełczewską-Zaleską, B. Krygowskiego, S. Majdanowskiego, J. Młodziejowskiego, E. Passendorfera, M. Rudnickiego, J. Urbanskiego, A. Wodzieckiego, Z. Wojciechowskiego, A. Zierhoffera. Pod redakcją A. Grodka, M. Kiełczewskiej-Zaleskiej i A. Zierhoffera. Poznań, Instytut Zachodni, 1948. (620 stron, 90 rysunków). Wydano z zasiłku Prezydium Rady Ministrów.

ERRATA

W poprzednim numerze tygodnika „Szczecin” w artykule L. Szechtera p. t. „Finansowanie inwestycji” zniekształcona została dwukrotnie myśl autora artykułu wskutek pomyłki w druku, a mianowicie: w pierwszej spłacie art. p. 2 winno być: „częściowe uruchomienie kredytów przez poszczególne ministerstwa podjętym im inwestorom... (a nie ministrom);

w spłacie drugiej artykułu wiersze ósmy i następne od dołu winny brzmieć: „kredyty bankowe wymagają natomiast dopolenia szeregu formalności i ich ułpynnienie następuje zazwyczaj po dłuższym okresie czasu”.

Na str. 4-tej tegoż numeru „Szczecina” w artykule p. t. „Migawki kulturalne” w trzeciej spłacie wiersze od 1 do 7 winny brzmieć: „Prelekcja szczecińskiego artysty — malarza Quido Recka „Jak patrzy na dzieła sztuki”, ilustrowana przezrociami, była dobrym przykładem, jak o rzeczach bardzo zawiłych i abstrakcyjnych można mówić w sposób prosty i przystępny”.

STANISŁAW PIENKOWSKI

Słowiny jako dowód polskości Pomorza Zachodniego

Prusy Książęce i Śląsk Wrocławski miały swoich bojowników o polskosc tych ziem w czasach Rzeczypospolitej Królewskiej. Pomorze Zachodnie na szerszej widowni polskich horyzontów politycznych, czy życia kulturalnego nie wystąpiło w czasach przedrozbiorowych i może dlatego w przekonaniami szerokiego ogółu społeczeństwa polskiego uchodziło za ziemię, w której śladów polskości można szukać tylko z łopata w rękę.

Wszystko, co mogło odnosić się do czasów późniejszych niż epoka wczesnochrześcijańska według tych fałszywych poglądów mogło być tylko dziełem obcych.

A jednak tak nie było. Pomorze Zachodnie straciło szlachetę, która wcześniej uległa skawicie germanizacji.

Natomiast lud przez dłuższy okres pozostawał polskim, a germanizacja jego nastąpiła w czasach dla nas znacznie bliższych niż to się ogólnie sądzi.

Ostatnie badania przeprowadzone w terenie przez docenta U. P. dr. Zabrockiego, przez mgr. Wałęgę (Biuletyn inform. Naukow. Instytutu Bałtyckiego z 1946 roku) oraz niżej podpisane, stwierdzają, że na skrawku wybrzeża morskiego między jeziorem Garda a Leba, ludność tubylcza zachowała świadomość pochodzenia kaszubskiego i poczucie odrębności od Niemców. Starsze pokolenie tej ludności zachowało do dziś pamięć pojedynczych słów i zdań kaszubskich.

Dzięki energicznej akcji dr. Zabrockiego, który w terenie badał stopień świadomości pochodzenia kaszubskiego w poszczególnych rodzinach, zamieszkałych na tym skrawku wybrzeża oraz interwencji i poparciu Polskiego Związku Zachodniego, udało się uchronić przed ewakuacją do Niemiec około 80 rodzin przeważnie rybaków z nad jeziora Leba i Garda.

Teren powiatu słupskiego, który obejmuje omawiane tu wybrzeże smoldzińskie (od Wsi Kościelnej) Smoldzino) zamieszkały był w XVI wieku przez ludność polską i mowa polską panowała tu w kościołach, jeszcze w dobie reformacji i później. Parczewski, fakt dłuższego utrzymania się mowy polskiej w kościołach katolickich, w powiecie słupskim, przypisuje temu, że powiat ten razem z bytowskim i lebońskim należały do XVI wieku do diecezji gnieźnieńskiej, podczas, gdy pozostałe powiaty Pomorza Zachodniego od początku należały do diecezji pomorskiej z siedzibą kurii biskupiej w Kamieniu.

Niewątpliwie, że był to ważny moment o ile chodzi o sprawę utrzymania polskiej księży, jakkolwiek w owych czasach moment narodowościowy w założeniu polityki kościelnej nie odgrywał poważniejszej roli. Fakt, że język polski musiał panować w XVI wieku w kościołach w powiecie słupskim, świadczy jednak, że został on przyjęty do kościołów ewangelickich.

W każdym razie ze znanych nam dziś źródeł kościelnych kościoła ewangelickiego wiemy, że w parafiach ewangelickich w Smoldzinie, Dużej i Małej Gardzie, Głównicy i Izby, od założenia tam parafii do końca XVII wieku językiem nabożeństw był język polski, który w Smoldzinie i Gardzie zachowany został jako drugi język obok niemieckiego jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku. Skasowanie nabożeństw w kościołach ewangelickich na tym smoldzińskim wybrzeżu wywołało protesty ze strony ludności, która wyraźnie domagała się polskiej nabożeństw w Dużej Gardzie równo sto lat temu (1848 r.) a w Smoldzinie nie chciała dopuścić do kościoła pastora, który nie znał języka polskiego.

POLSKI RUCH LUDOWY

Dlatego możemy nie bez przesady powiedzieć, że na smoldzińskim wybrzeżu istniał swoisty ruch ludowy polski, który samodzielnie prowadził walkę o utrzymanie języka swoich ojców. A przynajmniej, że położenie zapominanych przez naród polski rybaków nad jeziorem Gardna i Leba było trudniejsze nawet niż Mazurów czy Ślązaków, którzy bądź co bądź mieli wspólną granicę z Polką, jeżeli nie jako z państwem, to w każdym razie jako z obszarem językowym.

Grupa smoldzińska tymczasem odizolowana została pasem niemieczym, która w XVIII wieku opanowała środkowy i południowy pas powiatu słupskiego, lebońskiego i w części powiat bytowski. W bytowskim dopiero, położonym bezpośrednio na południe od słupskiego pozostała ludność rodzima, która w liczbie około 5000 zachowała do dnia dzisiejszego język

polski. Otóż trzeba stwierdzić, że język ludności powiatu bytowskiego i znany nam z pozostałych tekstów język grupy ludności w smoldzińskim jest narzeczem kaszubskim.

Świadczy to, że izolowana wyspa smoldzińska, której mowa brutalnie wyparta została przez Niemców z kościołów w pierwszej połowie XIX wieku stanowiła jedną całość z mową ludności w powiecie bytowskim, lebońskim i dalej wejherowskim i kościerskim.

W historii gwary kaszubskiej, Smoldzino zachowuje swoje szczególnie ważne miejsce. Tam bowiem powstały pierwsze pomniki literatury kaszubskiej.

Lechickie szczepy pomorskie dzieliły się na szereg plemion, których język w znaczeniu szerszym określony był jako język kaszubski natomiast w szczególności dzielił się na poddialekty charakterystyczne dla każdego plemienia. Podział taki jest regułą dla pierwotnego społeczeństwa. Dzięki przetrwaniu grupy językowej smoldzińskiej prawie do naszych czasów i dzięki gruntownemu zbadaniu jej przez uczonych w drugiej połowie XIX wieku, to jest w ostatniej chwili przed zamarciem języka pierwotnego tej ludności możemy stwierdzić, że polski obszar językowy obejmował Pomorze Zachodnie, jako naturalne przedłużenie Wielkopolski w kierunku północnym.

SŁOWINY I KASZUBI

Dzięki badaczom, o których będę mówił dalej, stwierdzonym zostało, że ludność nad wschodnim brzegiem jeziora Gardna w pasie nadmorskim od wsi Rowy do jeziora Leba, w Smoldzinie i Klukach oraz kilku innych wioskach między jeziorem Gardna a Leba należy do plemienia Słowinów, mówiącego poddialektem zwanym przez nas, słowinińskim. Mieszkańcy wiosek położonych nad południowym i nad wschodnim brzegiem jeziora Leba, według Parczewskiego zwali się Kabatkami, których język zbliżony był bardziej do języka Kaszubów w wejherowskim. Granicą miał być potok Pustynnik, wpadający do jeziora Leba między Klukami a Izbicą.

Co do nazwy Pustynnik, to w tym brzmieniu podaje ją dr Łęgowski, który tam bawił w 1898 r. Dr Zabrocki z ust starców w Klukach nazwę tego potoku słyszał jako Pustynka. W każdym razie grupa smoldzińska nie stanowiła jednej całości. Na zachód od jeziora Leba mieszkali Słowiny, na południowo-wschód od niego Kaszubi, zwani czasami Kabatkami, czasami Niniaki, a z niemiecka Nonkes.*)

Słowiny niewątpliwie musieli mieszkac znacznie dalej na zachód a to, co zachowało się w okolicy Smoldzina to resztki z plemienia, którego zasięg na zachód nie jest nam dziś dokładnie znany.**)

Literatura kaszubska w dialekcie słowinińskim zaczyna się od Korfeja, który będąc pastorem w Bytowie wydal w roku 1586 śpiewnik zawierający pieśni kościelne tłumaczone z niemieckiego i z polskiego, przystosowane do użytku ludu kaszubskiego. W przedmowie do tego słownika Korfej język książki nazywa słowinińskim (slawieski), a dzieło dedykuje księżtom pomorskim, pod których władzą urodził się i dzięki opiece których otrzymał wykształcenie. Korfej niestety nie napisał gdzie się urodził, ale można wnioskować, że nie pochodził z bytowskiego, ale gdzieś z okolic Słupska (Łęgowski jak wyżej).

Po Korfeju dzieło tworzenia kościelnej literatury słowinińskiej przejął w kilkadziesiąt lat później pastor ze Smoldzina Mostnik-Pontanus.

Napis w zachowanym do naszych dni portrecie Pontanusa w kościele w Smoldzinie (obecnie przejęty przez referat kultury i sztuki Starostwa) głosi nam, że ten urodził się w 1583 w Słupsku. Stwierdza to, że w XVI wieku ludność Słupska była ludnością polską.

Mostnik wydal dwie książki w latach 1640 w narzecz słowinińskim. Mały katechizm Lutra i pasje, których tytuł podał w trzech językach: łacińskim, niemieckim i polskim. (narzecz słowinińskim).

Na końcu obu książek znajduje się dopisek tej treści: „Ty ksaszky.... na jawność wydal Michał Mostnik (alias Pontanus albo Brückman)“.

*) dr Łęgowski „Baltisches Studien“ r. 1899.

**) Na zachód położone miasteczko Sławno prawdopodobnie wywodzi się od Słowinów.

Wynika z tego, że autor tłumaczył swoje polskie nazwisko Mostnik na język łaciński oraz niemiecki, co było ówczesnym zwyczajem.

Słowiniński tytuł katechizmu brzmiał: „Mały katechizm D. Marcina Luthera Niemiecko-Wandalski albo Sławieński“.

Wskazuje to wyraźnie jak prostymi drogami germanizacja na Pomorzu posuwała się tłumacząc polskie nazwiska na niemieckie, gdzie zdobywcy wykształcenia i „kariera“ naukowa oznaczały germanizację, a polskosc tkwiła wyłącznie w konserwatywnym ludu.

Jednak Mostnik był wyjątkiem, bo mimo studiów odbytych w Niemczech został Polakiem.

Wspomniany już przeze mnie portret z kościoła w Smoldzinie zawiera pewien szczegół, który uszedł na ogół uwagi poprzednich badaczy: lewa ręka Pontanusa spoczywa na otwartym katechizmie, na kartkach którego odczytujemy gotykiem wypisane pierwsze dwa przykazania Boskie. Język tu jest językiem polskim XVII wieku, a nie gwara słowinińska.

Wynika z tego, że językiem domowym Pontanusa, językiem jego modlitw był język literacki polski, a nie gwara kaszubska.

Kaszubszczyzna dla Pontanusa miała znaczenie jedynie jako środek trafienia do ludu, żeby być lepiej zrozumiałym.

Nie bez znaczenia jest tu również fakt, że książki Pontanusa wydane zostały w Gdańsku, z którym musiał utrzymywać kontakt, a gdzie działali i grupowali się ewangelicy-Polacy z Polski i Prus Książęcych.

Przed Pontanusem i Korfejem na wybrzeżu smoldzińskim były w użyciu książki importowane z Prus Książęcych i ze Śląska Dolnego, gdzie w tym czasie tkwiła polska literatura kościelna ewangelicka. Dr Łęgowski wspomina, że ofiarowano mu w Klukach w czasie jego bytności tam w 1898 r. egzemplarz śpiewnika królewieckiego XVI wiecznego w języku polskim. Książka ta pochodziła z Głównicy i należała do inwentarza tamt. kościoła ewangelickiego.

Świadczy to, że literatura kościelna w języku polskim wśród Słowinów była w użyciu przed literaturą niemiecką. Inne relacje stwierdzają, że w XIX wieku w chatach słowinińskich trafiały się polskie kancjonały ewangeliczne, wydane w Brzegu.

Tak więc ewangelicyzmy polski z Prus Książęcych i z Dolnego Śląska zasilał swymi wydawnictwami odległy kąt smoldziński, zamieszkały przez ewangelickich Kaszubów. Z tego faktu należy wyciągnąć wniosek, że literatura słowinińska nie była jedyną na tym terenie.

Literatura polska z Prus i ze Śląska istniała tu przed powstaniem prac Korfeja i Pontanusa i kolportowana była nadal po śmierci obu tych pisarzy, którzy położyli fundamenty przed regionalną literaturą kaszubską.

Naturalnie, że całą tę literaturę słowinińską możemy traktować jedynie jako część literatury regionalnej kaszubskiej.

Na plebanii w Smoldzinie przechowywana była jeszcze jedna książka słowinińska. Pochodziła z XVIII wieku i stanowiła zbiór tłumaczeń wyjątków z Pisma św. Książka ta w odróżnieniu od poprzednio wymienionych była pisana ręcznie.

Niemiecki badacz Lorentz przypisywał jej autorstwem pastorowi smoldzińskiemu, Lindnerowi. W kilku miejscach istnieją rozdzielnie zapisane inna ręka, zapewne są to tłumaczenia dokonane przez pastora sąsiednich, którzy często mieli trudności językowe. Według Łęgowskiego, który książkę tę miał w rękę, język słowiniński w niej nie odbiegał wiele od języka Pontanusa.

Wreszcie nótuje Łęgowski, że w posiadaniu jednego z właścicieli majątków znajdując się ręką wykonany zbiór tekstów przysięg w języku słowinińskim z XVIII wieku.

Na tym wyczerpują się pomniki rękopiśmienne, dotyczące literatury słowinińskiej kościelnej, oczywiście ewangelickiej, bowiem katolicka nie jest nam znana i nie wiemy w ogóle czy istniała przed reformacją.

BADANIA NAUKOWE W. XIX.

Wiek XIX przyniósł szereg badań naukowych nad językiem Słowinów.

Początek zrobił naukowiec rosyjski Helfferding, sprowadzony tu przez znanego działacza kaszubskiego Cejnowę w 1856 r.

Pod koniec XIX wieku wybrzeże smoldzińskie zwiedził i opisał Parczewski, a z niemieckich badaczy Tetzner. Zarówno Parczewski jak i Lorenz zgodni byli, że Słowiny stoją przed ostatnią minutą zgonu narodowego i dlatego łapali dźwięki tego szczepu lechickiego, który odizolowany od głównego pnia narodowego przetrwał na miejscu tysiącletnie zmagania z niemieczną mimo zupełnego braku własnej inteligencji, zachowując archaiczne formy mowy polskiej.

Nauczyciel gimnazjalny z Wągrowca, dr Łęgowski, w 1898 r. odbył wycieczkę po terenach słowinińskich i na podstawie obserwacji w terenie starał się ustalić liczbę ludności mówiącej po kaszubsku. Obraz, który nam zostawił w pracy swej „Die Slowinzen im Kreise Stolp ihre Literatur und Sprache“ (Baltisches Studien 1899 r.) przedstawiał się następująco:

Na zachodzie obszaru uznanego przez Lorenza za słowiniński w 1898 r. znali jeszcze tylko słowa słowinińskie starzy ludzie w miejscowościach Zietzen, Stojećcin i Wielka Gardna. W Stojećcinie znalazł język słowiniński stary Pigorsch. Jednak rozmawiał bardzo rzadko w uroczyste dni ze swoją siostrą. Starych modlitewników słowinińskich nie używał wcale. Natomiast zdania wypowiadał prawidłowo. W Dużej Gardnie po kaszubsku mówił Michał Butka, który w tym czasie miał 75 lat. On to teksty słowinińskie przekazywał Tetznerowi, Mikkoli*) i innym lingwistom. W Smoldzinie, niegdyś centralnym punkcie życia religijnego Słowinów według relacji Neumeistera nikt nie umiał po słowinińsku.

W Rowach również mowa słowinińska już wygasła.

Natomiast na wschodzie obszaru tak zwanego słowinińskiego w Klukach powożenie jeszcze mówiono po kaszubsku. Według Łęgowskiego, Kluki liczyły 550 mieszkańców. Dr Łęgowski twierdzi, że w Klukach większość mieszkańców mówiła jeszcze po kaszubsku, a wszyscy rozumieci ten język. Trudno powiedzieć na ile to twierdzenie odpowiadało prawdzie.

W każdym razie w dziesięć lat później byli w Klukach ludzie, którzy jeszcze mówili po kaszubsku. Tylko termin Słowinić i „slawieski“ zanikł. Dr Łęgowski mimo badań i poszukiwań nie spotkał ludzi, którzyby mówili, że są Słowinićami, że język ich jest językiem słowinińskim. Wszędzie natomiast spotykał się z twierdzeniem, że są Kaszubami i że język ich jest językiem kaszubskim. Dziś po 50-ciu latach na tym samym terenie znajdujemy podobny obraz z tym, że język słowiniński zanikł prawie zupełnie. Pojedyncze słowa słowinińskie zna zaledwie jeszcze kilku starców. Językiem potocznym stał się język niemiecki. Jeżeli chodzi o Kluki pozostała silna świadomość pochodzenia kaszubskiego. Ludzie w Klukach wiedzą, że ich rodzice byli Kaszubami, że mówili po kaszubsku. Natomiast w Małej i Dużej Gardnie i Stojećcinie świadomość pochodzenia kaszubskiego jest znikoma.

Ciekawym jest, że terminologia rybacka pozostała kaszubska. Do dziś rybacy jadąc łodzią na połów, kaszubskimi terminami określają nazwy ryb, narzędzi rybackich, nazwy topograficzne jeziora i.e. by nawet komendę przy wiosłowaniu „prawa i „lewa“ podają w języku polskim.

Przed rkiem stary Klick wypowiedział nam pierwsze słowa pacierza: „Wojeje nasz...“ dalej nie pamiętał. Natomiast przed 50-ciu laty Polleks uczył dr Łęgowskiego pacierza w następującej wersji: „Wojeje nasz, chore te jes w niebie, Swancon niech bandze imian twe, przyjdzie nom twoje kroulestw“.

Jak z tego widać liczba słów słowinińskich w pamięci mieszkańców maleje, pozostała jednak świadomość pochodzenia kaszubskiego i dlatego ważnym jest pozostawienie tej ludności na miejscu dla pamięci tych pokoleń, które tu polskosc utrzymały przez 1000 lat.

Pamiętajmy, że Kluki, jak mi to powiedział jeden z mieszkańców tej wsi, 1000 lat były polskie a od 30 lat zaledwie mówią po niemiecku.

*) Slavista austriacki.

Prosimy odnowić prenumeratę

— Pahdon, pan pozwoli, mon lieutenant?

Szare oczka o błędnym wyrazie, tkwiące w krwistoczerwonej twarzy, przysunęły się doprawdy zbyt blisko. Kwaśny o-ór fermentującego w żołądku alkoholu buchnął Jerzemu prosto w nos, więc odsunął się co prędzej że źle ukryta odraża, która jednak uszła uwadze natręta.

Podporucznik Ciuksza, młody absolwent oficerskiej szkoły Marynarki Wójennej, wracał z Oksywia, jak zawsze pieszo. Był gorliwym zwolennikiem kultury fizycznej i jeszcze w szkole zapowiedział sobie i kolegom, że znalazłszy się na odpowiedzialnym stanowisku oficera Floty, nie zerwie z dotychczasowymi swoimi obyczajami, które dawały mu rzetelność i cenne poczucie własnej sprawności i siły. Do obyczajów tych — o których podporucznik mawiał, że weszły mu w krew — należała poza poranną gimnastyką również dłuższa, kilkukilometrowa przechadzka bez względu na pogodę i okoliczności. Właśnie, jak z Oksywia na Kamienną Górę.

Inni, mieszkający także w mieście, oficerowie, narzekali na oddalenie od portu wojennego, na stracie czasu, ale podporucznik Ciuksza zadowolony był, że ma przynajmniej do przechodźki sposobność, której inaczej musiałby użyć szukać.

Dzisiaj jednak daremnie usiłował wykreskać z siebie to zadowolenie, które zwykle dawał mu ruch na świeżym i ostrym powietrzu morskim. Ćwiczenia, z których wracał, były więcej niż kiedykolwiek uciążliwe, noz zaś, w zanurzeniu spędzona, postawiła mu trwałe ucisk w płucah i gniołący ciężar na mózgu. To też wysiadłszy z holownika, który go przewiózł przez Kanał Przemysłowy, poczuł ogromną chęć wzmocnienia się czynnym, lecz rozgrzewającym. Wprawdzie obruszył się na to natychmiast jego sumienie sportowca, ale tym razem postanowił w drodze wyjątku ulec pokusie. I z wyrwaniem milaj beztraski na świeżem i różowej, pomimo „zmczenia twarzy, pchnął ciężkie drzwi baru „Pod wędzoną Fladrą“.

Poczuł swoista woń przysmażanej frytury, ostrych przypraw, marynowanych śledzi i z nieco przesadną pewnością siebie skierował się ku wielkiemu, niby ołtarz, bufetowi. Celebrowała tam otyła dama o imponującym biuście i modnej w początkach naszego stulecia fryzurze „w kok“, wznoszącej się niby fantazyjny dach chińskiej pagody nad twarzą obwisłą, wybieloną i wyróżzoną pod kolor zawstydzonej dziewczyci.

— Pan porucznik rozkaże?

Czarny kok zsunął się nieco na tył głowy, namalowane, nie bez talentu, bezwłosie brwi uniosły się, plisując czoło mnóstwem zmarszczek. Jaskrawe, namietne wargi rozchyliły się, ukazując komplet nowego uzębienia. Dama była już stara, ale niestety nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Ciuksza patrzył na tę pantomimę ze zgrozą. Wypił prędko dwa koniaki i zaczął dawaj jeszcze piwa, odszedł od bufetu z kuflem w dłoni i z ulgą w sercu. Usiadł przy stoliku tyłem do szynkwasu, zdjął czapkę gniołącą mu czoło i zajął się przyjemnym obrządkiem nabijania fajki wonnym, grubo krajającym „Capstanem“, (podporucznik Ciuksza pali wyłącznie fajki), kiedy ten natrętny głos przerwał mu błogi stan odprężenia, jaki po rzetelnym zmczeniu dają dwa kieliszki dobrze rafinowanego, odstalego alkoholu, wypite na czczy żołądek.

— Pahdon, czy pan pozwoli, mon lieutenant?

Okragły mężczyzna lat około 50, postawił z przesadną ostrożnością kufel pełen piwa na marmurowej płycie stolika Ciukszy. Usiadł, podciągnął na kolanach dwoma palcami, powoli, z namaszczeniem nogawki przybrukanych spodni i podkurczywszy grube nogi pod krzesło wpatrzył się z rozrównaniem w Jerzego.

— Pan porucznik gdzie służy?

Jerzy posłałby najchętniej intruza do wszystkich diabłów, ale wrodzona mu niesmiałość i grzesność przemogły.

— W marynarce wojennej — odrzekł z uprzejmym uśmiechem na czerwonych, dziewczęcych wargach.

Niespodziewanie grubas zaniósł się śmiechem, śmiechem nastawionym na wysokie „C“ i zupełnie nie licującym z jego tusza.

— Cha, cha, cha!... W marynarce!... Cho, cho, cho!... Wojennej!... Chi, chi, chi!... — rżał jak ogier na pastwisku. — Doskonały kawał!

Ciuksza spojrział na wesolka w sposób, który jemu samemu wydał się miazdzący.

— Pan się zapomina! — wycedził chłodno, przez zęby.

MIECZYSLAW ZYDLER

W portowym barze

Grubas spowaźniał nagle, jak poprzednio się roześmiał.

— Mais non, mais non, — zaprzeczył gorliwie. — Niech pan się nie gniewa na stałego duhnia, mon lieutenant. Ale pan powiedział, że jest z marynarki wojennej... Przecież to każde dziecko widzi.

Jerzy poczuł, że wzbiera w nim irytacja.

— Skądże mogłem wiedzieć, że umie pan odróżnić mundury oficera marynarki wojennej od handlowej! — rzucił niecierpliwie i sięgnął po kufel umoczył wargi w białej pianie.

— Allez donc! — zawołał znowu Francuz, wytrzeszczając oczy z wielkiego zdumienia. — Czy umiem odróżnić... Ależ ja sam jestem... pahdon... byłem marynarzem... Na „sumahinie“, mon lieutenant!... Szereg lat przed wojną i podczas wojny.

Pochylił się nad swoim piwem, prezentując Jerzemu różową lysinę, obficie pokrytą drobnymi kropelkami potu. Była o jeden ton jaśniejsza od twarzy, błyszcząca i gładka, jak ciało zdrowego niemowlęcia w kąpielu.

— Ja także służę na okręcie podwodnym — odezwał się nieopatrznie Ciuksza, czując jak rozdrażnienie mu mija.

Nad kuflem, na miejscu lysiny, ukazała się uszczęśliwiona twarz grubasa.

— *Tonnerre de bon Dieu!* — zawołał w uniesieniu. — Przecież mnie nie omyliło!... Jesteśmy więc kolegami!

— Nie spodziewałem się pozyskać tu kolegi — pomyślał Ciuksza z pewnym niesmakiem.

— A zatem spędził pan wojnę na okręcie podwodnym? — zapytał jednak, nie chcąc być nieuprzejmym.

— *Pas du tout!* — zaprzeczył Francuz i rad z efektu, zmrużył filuternie oko.

— Przecież sam pan powiedział!...

— *Si, mon lieutenant*, mówiłem i powiedziałem prawdę. Służyłem na okręcie podwodnym, ale już w roku 1940 dostałem się do niewoli. W Cieśninach Duńskich — dodał po chwili tajemniczo. I widząc, że wzbudził w poruczniku zainteresowanie uśmiechnął się z pewną wyższością. — Pan zapewne wie, *mon lieutenant*, bo chyba tego ucza w szkole morskiej, jak bardzo Francji i Anglii zależało wtedy, aby Niemcy nie wtargnęli do Norwegii?

— Ba, chciano zapobiec w ten sposób ich wylamaniu się z blokadą na szersze wody i przejściu w powszechnie działaniach na morzu z obrony do natarcia.

— Ma pan rację, młody człowieku!... No, nie udało się temu przeszkodzić... Wstrzelano z ładu, od którego ruszły ku



Droga

żej części swoich okrętów podwodnych. A ja byłem na jednym z nich. Ollllll!... To były czasy! Warunki pływania nudne, ale człowiek czuł — *vous savez* — że przynajmniej żyje.

— A w jaki sposób dostał się pan do niewoli? Czy udało wam się przedtem zatopić swój okręt?

— *Hélas!* *mon lieutenant*, nie udało się!

I głaszcząc palcami jednej ręki swój grubą, podwójną podbródkę, drugą zaś gestykulując plastycznie, ciągnął dalej:

— Było to w miesiącu *avril*. Wyszliśmy w morze o brzasku, płynąc wynurzeni. Pod wodę poszliśmy dopiero przed polem minowym, aby je wyminąć od dołu. W tej przekłetej ciszynie są bardzo silne prądy i dużo miejsc płytkich, dlatego żegluga jest tam trudna, zwłaszcza dla „*sumahiny*“. Nasz komendant był to chłop młody, *un homme de coeur*, *vous savez!*... Gładki na twarzy, wąsik miał czarny, przycięty i głos cichy, powiedziałbym, ładny. Ale w służbie, na okręcie ład i posłuch musiał być, bo inaczej jak spojrzal tymi swoimi czarnymi, błyszczącymi oczami na człowieka to *sacré bleu!* — aż mroź chwytal.

— Mniejsza o to! — przerwał niecierpliwie Jerzy. — Ale jakim sposobem was wzięto, panie... przepaszam, ale nie wiem, jak pańskie nazwisko?

Grubas wyciągnął do porucznika łapę pulchną jak poduszka.

— Romarin!... Gérard Romarin!... Jestem doprawdy *heuhéux* z poznania pana, *mon lieutenant!* Pan musi być także *un homme de coeur*, *désolé* mi było na pana spojrzeć, *monieur?*... *monieur?*...

— Ciuksza! — z trudem obejmując podaną sobie dłoń przeciął krótko Jerzy wylenne komplementy Francuza. Ów, na dźwięk tego nazwiska, brzmiacego ostro jak chłaniście bątem, spojrzal z pewnym zdziwieniem i zamilkł na chwilę, utraciwszy najwidoczniej wątek. Pociągnął tegi lyk piwa i przetał spoconą lysinę chustką wielką i czerwoną jak chorągiew partyną.

— Co to ja mówiłem, na czym to ja się zatrzymałem? — spytał niepewnie.

— Przeszliście pod zagrodą minową — poddał porucznik.

— *C'est ça!*... Mineliśmy ją pomyślnie, tylko obtarliśmy się o łańcuch kotwiczny jednej z min. Komendant chciał rozejrzeć się w położeniu, więc kazał *szasować* balasty. Wyzuraliśmy się powoli, ale za ledwie nasz peryskop wyjrzał z morza, kiedy dostaliśmy *un coup de canon*. To nam zaraz 2 niszczyciele. Trzeba było u-

ciekać, *nom de nom!*... Zanurzaliśmy się i przeleliśmy na dnie przez cały dzień i noc przy wórze szukających nas bomb głębinowych.

— Czemuż do licha?

I podporucznik, rozgrzany koniakiem o-raz opowiadaniem Francuza, uderzył pięścią w stolik. Z cichym dzwonieniem podskoczyły kufle, a Ciuksza, zawstydziwszy się nieco, ciągnął już spokojnie:

— Dlaczego nie wystrzeliliście torped?... Trzeba było skorzystać z okazji!

— Monsieur Romarin wydał i tak już grube wargi.

— Pan jest jeszcze bardzo młody — rzekł poważnie. — Proszę nie gniewać się na mnie, *mon lieutenant*, ale mówi przez pana brak doświadczenia. Okręt podwodny jest dla niszczycieli nie przeciwnikiem, lecz zwierzyń. Ta „okazja“ jak pan to nazywał, mogła skończyć się tylko naszą zgubą. *Voilà!*

Jerzy miał dużo zdrowego rozsądku i rozumiał, że doświadczenie znaczy czasami więcej niż teoria, toteż zaprzeczać nie zamierzał. Popił piwa i nie obraził się. Zrezygnując pytanie jego było raczej wynikiem ciekawości niż refleksji, wiedział bowiem, że okręt podwodny, jako instrument nader precyzyjny i wrażliwy na uszkodzenia, powinien, jak diabeł święconej wody u-nikać spotkania z szybkimi, łatwo zwrotnymi i silnie uzbrojonymi niszczycielami.

— A więc spędziłeś całą noc na dnie? — zapytał tylko, ukrywając się za kłębami dymu z fajki.

— Niezupełnie, *mon bon lieutenant*, bo nad ranem zniósł nas prąd i rzucił na skałisty brzeg. Na szczęście obyło się bez awarii. Wyszliśmy ostrożnie na powierzchnię, ale komendant natychmiast dał znowu rozkaz zanurzenia. Te przekłete niszczyciele już nas dojrzały i przez długi czas słyszeliśmy nad sobą szum bomb. Kiędy bliżej lub dalsze wybuchy bomb. Kiędy ponownie wynurzaliśmy się, morze było wzburzone, *gros*, jak powiadamy my, Francuzi. Powietrze mieliśmy mocno ciężkie, ale świeżego niewiele można było wpuścić, bo fale wciąż nam zalewały otwory wentylatorów. Na domiar złego zgłasza nagle światło a w środkowym przedziale powstał pożar.

— Krótke spieć?

— *Oui, mon lieutenant* — potwierdził grubas.

Ożyło w nim wspomnienie przeżytych chwil grozy. Oczka, maślane od alkoholu, nabrały blasku, tłuste palce drżały z emocji.

— Spieć powstało od ściekających kropel wody, która zbierała się na ścianach. Ogień udało nam się ugasić, ale trzeba było koniecznie wyjść na powierzchnię, aby pozbyć się dymu, bo dusiliśmy się, i dla nalaadowania akumulatorów. Nagle podroczko nas tak mocno, że wielu z nas upadło. *Tonnerre de bon Dieu!*... Siedliśmy na mielinie i to na dobre... Kiosk i dziób wystawały z wody i wkrótce z nadbrzeżnego fortu zaczęto walić do nas, jak do kaczki. Już jeden z pierwszych granatów uszkodził nam maszynę... Zejść na głęboką wodę nie podobna było. Komendant więc otworzył właz i wyszedł na pomost. Ja za nim... A on chustkę z kieszeni wyciąga i sam biały na gębie, jak ta chustka, zaczyna nią powiewać.

— Nie uratuje już naszego okrętu, *mon vieux!* — powiada do mnie.

Niemcy nie od razu zaprzestali ognia. Znęcać się nad pokonanym — to już taka ich właściwość. Wkrótce straciliśmy w zabitych 9 ludzi a mnie reka zwiśla, trafiona odłamkiem granatu. Wreszcie od brzegu odbiła motorówka. Morze było, jak powiedziałem, złe, więc chwilami zupełnie ginęła nam z oczu, ale przecież dotarła do nas. Dopiero wtedy przestano nas ostrzeliwać. Nasz komendant przez cały ten czas stał, jak gdyby nic, na pomoście... *Parbleu!*... Oficer niemiecki długo marudził, zanim fale pozwoliły mu przedostać się na nasz okręt.

— *Haj Hitler!* — pozdrowił nas. — Porwaliście się na wielką Rzeszę niemiecką, *maïne herren!* — powiada. — Poniesiecie za to karę!

— Takim to sposobem dostałem się do niewoli, *monieur Szuksza!*... Uwolnity mnie dopiero wasze oddziały pancerne na wiosnę 1945 roku. Cale 5 lat za drutami, *sacré nom de nom!*... zakończył swoje opowiadanie impulsywnie monsieur Romarin. I dwie prądywne lzy stoczyły mu się niespodziewanie na zalaną piwem płytę stolika.

— Otuchy, kolego! — odezwał się przyjacielsko porucznik Ciuksza.

Ujął grubasa pod ramię i już uśmiechającego się poprzez lzy poprowadził ku bufetowi.

— Dwa głębsze „wyborowej“ z kropką! — rzucił utynkowanej damie.

Na zdar, na zdar!

WIZYTY CZESKOSŁOWACKIE W SZCZECINIE

Na zdar! Na zdar! Jak długi i szeroki port — salutę. Syreny holowników i statków witają głośnym gwizdem bratnią banderę. Pierwsza wizyta roboczych barek czeskosłowackich na Odrze. Na wysokim maszcie holownika „Prezydent Benes” powiewa biało-czerwona z niebieskim trójkątem bandera. Po chwili holownik przybija do bulwaru Wałów Chrobrego. Załoga na nim polsko-czeskosłowacka, podobnie jak na barkach. Serdeczne powitanie i szczerze pozdrowienia. To początek wspólnej przyjaźnej współpracy na głównej arterii Północ-Południe — na Odrze. To konkretny przejaw realizacji założeń gospodarczych, opartych na wspólnej prężności ideologicznej dla wspólnego celu: przez budowę do utrwalenia mocnej pozycji gospodarczej, wykluczającej raz na zawsze penetrację niemiecką.

W przeddzień nieoficjalna uroczystość. Wodowanie kadłuba Oliwa. Przyjeżdżają z Pragi na ten dzień dziennikarze. Red. Zdenek Dworacek z praskego organu Związków Zawodowych „Praca”, a nadto redaktor naczelny Radia Czeskosłowackiego p. Jiri Miroslav Nowak. Towarzyszy im operator filmu Czeskosłowackiego, p. Josef Vanis. Utrwalają fragment odbudowy przeprowadzanej przez Polaków, by przekazać go swojemu narodowi w druku, na filmie i na falach eteru jak robotnik, technik i inżynier pracuje w Szczecinie. Jadą z kolei na wybrzeże, by zapoznać się z krajobrazem morskim, gdzie już w roku bież. będą gościli na czasach kadry młodzieży i robotników czeskosłowackich. Filmują z samolotu panoramę Szczecina.

Zaledwie minęło parę dni, gdy na zaproszenie Z. Z. Dziennikarzy przybyła do Szczecina grupa dziennikarzy z Brna. Celem ich — zapoznanie się z terenem i nawiązanie bezpośrednich kontaktów z prasą miejscową. Dnia 1. Maja Goście, reprezentując opinię czeskosłowacką po przez dzienniki: „Ravnost”, „Lidove Noviny”, „Nova Politika”, oficjalna Czeskosłowacka Agencja Prasowa, a dalej przez C. I. N. i Ministerstwo Informacji biorą czynny udział w wielkich uroczystościach Święta Pracy. Niosą w pochodzie transparent — „Prasa Czeskosłowacka”. Manifestują wspólnie ideologiczną. W czasie marszu społeczeństwo wita ich gromkimi oklaskami i okrzykami „Na zdar, na zdar”. Po tym biorą udział w otwarciu jednej z największych fabryk sztucznego jedwabiu w Polsce — w Żydowcach. Zwiędzają port — interesuje ich żywo praca przeładunkowa. Z dużą radością witają barki czeskosłowackie przy nabrzeżach. Obserwują wyładunek kaoliny dla krajów skandynawskich. Płyną statkiem nad morze. Zachwycają się pięknem wybrzeża. Chowają na pamięć z pierwszego pobytu na zachodnim wybrzeżu Bałtyku zebrane muszki i piasek. Nie kryją swych pragnień. Chcą już w czasie lata przybyć tu na wybrzeż. Opuszczając ziemię Polski, nadesłali depeszę zapewnijającą, że wrzenia jakie przeżyli, pozostała w ich pamięci na całe życie i na drodze słowa drukowanego będą utrwalali zawartą, braterską przyjaźń.

Po wizytach dziennikarzy w dniu 6 maja rb. przybyła do Szczecina delegacja reprezentantów życia gospodarczego Czechosłowacji w osobach reprezentantów Izby Przemysłowo-Handlowej z Pragi, Opawy, Liberca, Hradec

Kralove, z Budejovic, Olomuńca, z Brna. Jako prezesi Izby reprezentują również szereg zakładów przemysłowych. Wśród nich jest znany na tutejszym terenie dr. Vaclav Antropius, który na łamach prasy oddawna kontynuuje i gruntuje przyjaźń polsko-czeskosłowacką. Jest również p. Josef Holubec, dyrektor Zakładów Gottwaldowych, skąd nadchodzi uzbrojenia nabręży dla Szczecina, tam gdzie obecnie wykonywane są dla nas dzwigi.

Po złożeniu oficjalnych wizyt u Wojewody Szczecińskiego, Borkowicza, Prezydenta miasta, inż. Piotra Zaremby, u Dyrektora Urzędu Morskiego, dr. Bonarskiego udają się na zwiedzanie portu. Zapoznają się z przebiegiem prac przy umacnianiu nabrzeży. Obserwują zabijanie wodoszczelnych ścianek larsenowskich, dostarczonych z zakładów gottwaldzkich, a dalej pale Franka na fundamenty poddzwigowe. Widzą pracę i w rozmowach dają oni wyraz, że wizyta ich w Szczecinie ma na celu dopomożenie nam do odbudowy portu, który jest terenem wspólnej pracy.

Interesują się żywo zaplanowaną wielką strefą wolnocłową. Zagadnienie konkurencyjności portu hamburskiego ze szczecińskim nie wchodzi w rachubę, gdyż inne jest podłoże rozmów po zawarciu przyjaźni między obu krajami. Fundamentem płaszczyzny gospodarczej jest wspólna ideologia. Różnice jakie dawniej istniały zostały już usunięte, a przeszkody techniczne, jakie jeszcze istnieją będą niebawem przełamane. Do nich należy przede wszystkim naprawa najkrótszej linii kolejowej między Szczecinem a Czechosłowacją, zagadnienia przeładunkowe w Koźlu, regulacja drogi wodnej na Odrze.

Po zaznajomieniu się z życiem gospodarczym, a zwłaszcza portu, Goście przeprowadzili pertraktacje z przedstawicielami Polskiego Związku Eksportatorów Morskich i Związku Maklerów Okrętowych, nawiązując z nimi bezpośredni kontakt gospodarczy, przy coraz bardziej zacieśniającej się współpracy Izby Czeskosłowackich z Izba Przemysłowo-Handlową w Szczecinie. I. B.

„CZECHOSŁOWACKA PLAVEBNI SPOLECZNOST ODERSKA“

Do portu szczecińskiego przybył pierwszy zestaw barek czeskich. Zapowiadane uruchomienie żeglugi czeskosłowackiej na Odrze zostało dokonane. Wprawdzie przybyły tabor nie stanowi właściwego rejsu po Odrze, gdyż barki doprowadzone zostały kanałami z Łaby, tym niemniej stanowi początek flotyli odrzańskiej. Po rozładowaniu się z glinki kaolinowej, jaka w Szczecin idzie na eksport do Szwecji, barki załadują rudę i już normalnym inauguracyjnym rejsem popłyną w górę Odry, do Koźla, gdzie ruda przeładowana zostanie na wagony i pojedzie dalej koleją do Czechosłowacji.

I odtąd już stale po polskiej Odrze kursować będą barki i holowniki czeskich. W miarę potrzeby tabor żeglugowy będzie uzupełniany bądź to z Łaby, gdzie jest obecnie eksploatowany, bądź ze stoczni holenderskich i czeskosłowackich, gdzie jest budowany, bądź też z polskich stoczni rzecznych, gdzie jest naprawiany.

W pierwszym okresie żeglugi flotyli czeskosłowacka na Odrze składać się będzie z ok. 60 jednostek o łącznym tonażu ca. 30.000 ton. Dla eksploatacji tego taboru zostało utworzone z siedzibą we Wrocławiu i oddziałami w Koźlu i Szczecinie, przedsiębiorstwo „Czechosłowacka plavebni spolecznost Oderska”. Będzie ono ściśle współpracować z polską „Państwową Żegluga na Odrze”, korzystając z tych samych praw co i żegluga polska i mieszcząc się w tych samych budynkach.

Nie trzeba długo się rozwodzić nad tym, jakie znaczenie dla obu krajów, a szczególnie dla portu szczecińskiego, będzie mieć zapoczątkowanie czeskosłowackiej żeglugi. Odra się ożywi. Popłyną liczne zestawy barek. Masowe ładunki otrzymają tańszy transport. Węgiel ze Śląska, ruda i apatyty ze Szczecina będą podstawowym ładunkiem dla nowej żeglugi. Przepyszczając należy, że przedsiębiorstwo będzie administrowane sprężysto i wykaże, że jednak wodą

transport może być tańszy od kolejowego.

Znaczenie żeglugi na Odrze dla Czechosłowacji podkreśliło niedawno czeskie pismo „Nova Svoboda”:

Dla Czechosłowacji uruchomienie tej komunikacji będzie nader ważne z tego względu, że w naszym transporcie i kontakcie z zagranicą uniknie się częściowo trudu starania się o dewizy zagraniczne, ponieważ koszt transportu będzie pokrywany w koronach czeskosłowackich lub złotych polskich. Z tego punktu widzenia uruchomienie naszej żeglugi na Odrze będzie dużym osiągnięciem. Poza tym zaś nie należy zapominać, że transport wodny szlakiem Odry przebiegać będzie cały czas przez czysto słowiańskie terytorium co zwiększa jeszcze jego znaczenie“.

Dla Czechosłowacji zagadnienie eksportu wiąże się z kosztami transportu do portów. Przez Antwerpię, Rotterdam czy Hamburg koszty są zbyt wysokie, gdyż dowóz do tych portów odbywa się głównie samochodami. Wykorzystanie naturalnej drogi wodnej znakomicie może obniżyć koszty. Potaniecie transportu zależeć będzie w dużej mierze od sprawnej eksploatacji taboru oraz od dobrego zorganizowania przeładunków w Koźlu i w Szczecinie. Wiąże się to i z należytym rozwiązaniem sprawy bazy wolnocłowej w porcie szczecińskim dla Czechosłowacji. Baza musi być tak zorganizowana, aby odpowiadała wymogom klienta czeskosłowackiego i była zachętą dla innych państw.

Rozwój żeglugi na Odrze przyniesie Polsce wiele korzyści gospodarczych i politycznych. Odra stanie się wielką arterią komunikacyjną o międzynarodowym znaczeniu, zwłaszcza po połączeniu jej kanałem z Dunajem. Zbliży ona Skandynawię z Czechosłowacją i państwami bałkańskimi, umożliwi i ułatwi zdobywanie wielkiego tranzytu przez Polskę. Dla przyszłości portu szczecińskiego ma to szczególnie doniosłe znaczenie.

Bol, K.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

NA GRUZACH SMĘTKA

„Na Gruzach Smetka”), to książka o Warmii i Mazurach. Rzecz ta nie pretenduje do rangi monografii, ale pisana stylem narracyjnym, w formie prostej i przystępnej — ucciwie i rzeczowo informuje o skomplikowanych stosunkach ludnościowych tej części Ziemi Odzyskanych.

Obszerny wstęp, ujęty jako osobiste wspomnienia autora z pobytu na Warmii i Mazurach, w okresie jego dorywczej pracy w „Gazecie Olsztyńskiej”, to dokument nie budzący zastrzeżeń co do autentyczności i wydaje się specjalnie cenny, jako materiał dla każdego badacza nad okresem zmagania Mazurów z niemiecką. Ta ustawiczna walka, nakazująca czynność w każdej sytuacji, jest ostrym tłem, na którym odnajdujemy prawdziwe rysy charakteru, miejscowych działaczy. Poeta Kajka, redaktor Jaroszyk, publicysta i poeta Samulowski, a wreszcie cała rodzina Pieniężnych, wszyscy ci ludzie, przesuwać się przed naszymi oczami, każdym swym czynem, każdym nieugiętym słowem, przypominają, że to właściwie ofiarne garście tych społeczników z Bożej łaski, — zawiązujemy, że powróciliśmy na Mazury późno, ale jeszcze za pięć dwunasta.

Część druga, obok momentów krępujących, przynosi uwagi, zmuszające do smutnych refleksji. I znowu zasługa autora: odważne spojrzenie prawdzie w oczy i nie chowanie pod korcem skandaliach niedoświadczonych administracji. Za to jeszcze podobno jakoby się poprawia. Radosni i samowolni improwizatorzy zostali odwołani, a na ich miejsce przyszli ludzie z prawdziwego zdarzenia. Ale błędy ciężko jest odrabiać. Więc trudno będzie wypłenić gorycz w sercach autochtonów, którzy w podzię za swą nieugiętą postawę wobec Niemców, zostali nakarmieni niewdzięcznością. Ostatni wydzwonek jednak optymistyczny. I słusznie. Czas pracuje dla nas.

W sumie pożyteczna, dobra książka.

* Leon Sobociński, Na Gruzach Smetka. Wydawnictwo B. Kądziela 1947. W-wa str. 247.

JULIUSZ KOLIPIŃSKI: „GRANICA PO-KOJU“.

Książka ta wydana staraniem „Wydawnictwa Zachodniego” w Poznaniu poświęcona jest problemowi granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie. Autor książki pozostawiając na boku polityczną stronę zagadnienia, — w swych jasnych i przekonujących wywodach interesuje się głównie stroną gospodarczą oraz wpływem jaki ma granica na Odrze i Nysie na gospodarkę Niemiec i Polski.

Dotychczasowa dysproporcja poziomu życiowego pomiędzy Niemcami a Polską, dająca obrzydliwą przewagę Niemcom ustąpiła miejsca dzięki nowej granicy na Odrze i Nysie, mniej więcej równowadze potencjału gospodarczego obu narodów. I to właśnie jest najistotniejszą zdobyczą ostatniej wojny dla przyszłego pokojowego rozwoju stosunków w Europie.

Tę swoją główną tezę autor uzupełnia obaleniem legendy propagandowej szerzonej przez rewizjonizm niemiecki, — przez przytoczenie drugoczości argumentów gospodarczo-statystycznych (w wielu wypadkach ze źródeł niemieckich), że Niemcy bez ziemi na wschód od Odry i Nysy nie obniżą zupełnie swego standardu życiowego, — podczas gdy Polska bez ziem skazana jest na rolę ubogiego sąsiada u boku silnych gospodarczo Niemiec. Wyrównanie poziomu dochodu społecznego nowej Polski i nowych Niemiec jest koniecznością i jedynym słusznym wnioskiem dla ekonomistów. Z kolei przyjąć go winni politycy a wtedy granica na Odrze i Nysie stanie się prawdziwą granicą pokoju, sprawiedliwości i bezpieczeństwa.

Zebranie Tow. Przyjaźni Polsko-Czeskosłowackiej

20 maja b. r. o godz. 17-ej w sali konferencyjnej Urzędu Morskiego (Wały Chrobrego 1) odbędzie się walne zebranie członków i sympatyków szczecińskiego oddziału Tow. Przyjaźni Polsko-Czeskosłowackiej. Na zebraniu wybrany będzie nowy Zarząd (dotychczas prace Towarzystwa prowadził tymczasowy Komitet organizacyjny).

Pożądane jest, by w walnym zebraniu wzięło udział jaknajwięcej osób, interesujących się tak ważnym dziś zagadnieniem zacieśnienia węzłów serdecznej przyjaźni pomiędzy społeczeństwem polskim a czeskosłowackim.

INŻ. ANTONI WIELOPOLSKI

Produkcja roślin na Pomorzu Zachodnim

Powierzchnia użytkowana rolniczo na Pomorzu Zachodnim wynosi ogółem ok. 1.820 tys. ha, z tego ok. 1490 tys. ha to ziemia orna, ok. 230 tys. ha, to łąki, pastwiska zaś liczą ok. 100 tys. ha.

Produkcja roślinna jest zależna z jednej strony od warunków naturalnych, (gleba i klimat), z drugiej strony od człowieka posiadającego przez niego środki. Będą nimi: inwentarze żywe, narzędzia, nawozy sztuczne i naturalne, melioracje itp.

Warunki naturalne typują charakter produkcji roślinnej na Pomorzu Szczecińskim w pierwszym rzędzie na żyrno-ziemniaczano-lubinowy. Te uprawy zajmowały bowiem ok. 52% ogólnej powierzchni ornej dzisiejszego województwa.

Na drugim miejscu występowała uprawa owsa wraz z jęczmieniem oraz roślin pastewnych (koniczyna, w mniejszym stopniu lucerna). Uprawy te zajmowały ok. 30% powierzchni województwa, w czym owies znajdował się na pierwszym miejscu.

Uprawa pszenicy oraz buraków cukrowych (najszersze występowania w powiatach: pyrzyckim, gryfińskim, kamińskim, gryfickim, choszczeńskim gdzie pod tymi uprawami znajdowało się od 6 do 18% ziemi ornej (Pyrzyce 18%, pozostałe powiaty ok. 1%). Na reszcie obszaru województwa uprawy te zajmowały od 0,2 do 3, 8%.

Dla ogólnej orientacji podajemy procentowy układ upraw z roku 1937 na obszarze Pomorza Zachodniego objętych obecnie granicami województwa szczecińskiego:

Roślina uprawna	% pow. ziemi ornej
żyto	31,1
pszenica	2,9
jęczmień	5,3
owies	14,4
miesz. zbożowe	3,6
Razem zbożowe	57,3
ziemniaki	19,7
buraki cukrowe	0,9
okopowe pastewne	4,8
Razem okopowe	25,4
łubiny	2,1
oleiste	0,3
koniczyny i trawy	6,5
Razem	8,9
Inne oraz ugory czarne	8,4
Razem	100%

Rośliny przemysłowe, włókniste oraz oleiste zajmowały według danych z lat 1935/39 nieznaczne przestrzenie na Pomorzu Szczecińskim.

Pod rzepakami znajdowało się przeciętnie w każdym powiecie po kilkadziesiąt ha. W powiatach o lepszych glebach przestrzenie te osiągnęły po sto kilkadziesiąt ha.

Podobnie przedstawiała się uprawa łąki, osiągając maksimum od 100 do 200 ha, i w innych wypadkach wahając się w granicach kilkadziesiąt ha na powiat. Tak samo przedstawiała się uprawa konopi z tym że obszary znajdujące się pod tą rośliną były jeszcze mniejsze.

ZIEMIANKI I ŻYTO

Należy przypuścić, iż po usunięciu zniszczeń wojennych, likwidacji odłogów, nasyceniu terenu ludnością rolniczą Pomorza Zachodnie staje się poważnym producentem ziemniaków oraz żyta.

Ziemniaki powinny stać się po zaspokojeniu miejscowych potrzeb aprowizacyjnych 1) bazą paszową dla miejscowej hodowli, przede wszystkim trzody chlewniej, 2) dostarczyć surowca do miejscowych zakładów przemysłu przetwórczego. Wreszcie powinny być eksportowane jako sadzianki za granicę, między innymi do Ameryki Północnej oraz Południowej.

Żyto będzie drugim z kolei ilościowo produkowanym płodem rolnym. W pierwszym rzędzie dla pokrycia miejscowych potrzeb aprowizacyjnych następnie w celu zaopatrzenia w mąkę innych ośrodków konsumpcyjnych, leżących poza granicami województwa. Należy zwrócić uwagę na wywóz żyta w postaci mąki, ażeby otręby, jako dostępna i tania pasza pozostały na miejscu do dyspozycji hodowców.

W zakresie uprawy owsa i jęczmienia wydaje się, że punkt ciężkości powinien być przesunięty na jęczmień, w postaci jęczmienia pastewnego. Owies bowiem stanowi prawie wyłącznie paszę dla koni i będzie coraz bardziej tracił na znaczeniu w związku z ogólną tendencją motoryzacji (rolnictwa, wojska itp.).

Najbardziej opłacalna uprawa jęczmienia browarnego nie może się rozwinąć z powodu niesprzyjających warunków klimatycznych.

Dla uprawy buraków cukrowych oraz pszenicy nie należy przewidywać poważniejszych możliwości rozwojowych, gdyż areal nadający się pod ich uprawę jest niewielki.

W planowaniu upraw roślin pastewnych powinien być położony w pierwszym rzędzie nacisk na uprawę koniczyny i lucerny.

Należy zwrócić uwagę na rozszerzenie do maksimum uprawy łąki siodłkowej, jako rośliny dostarczającej wysoko wartościowej paszy białkowej pod postacią ziarna i kiszonek. Poza tym uprawa łąki podnosi w wysokim stopniu urodzajność piaszczystych gleb.

To też uprawa łąki siodłkowej winna być popierana drogą rozprzeczania ziarna i odpowiednią akcją propagandową. Przy czym na terenach, gdzie już zaprowadzono uprawę łąki siodłkowej należy zakazać siania łąki gorzkiego, ponieważ zapylenie tym osładem niewykorzystywano łąki siodłkowej jako paszy.

Wprowadzenie upraw roślin przemysłowych do planu zagospodarowania rolniczego powinno nastąpić w skali nie kończącej z zasadniczym typem gospodarstwa żytnio-ziemniaczano-owinowego najbardziej odpowiadającego warunkom naturalnym.

Przed rokiem 1945 czynione były starania powiększenia arealu tych upraw, ale bez widocznego skutku, przypuszczalnie warunki naturalne oraz konserwatywność rolników nastawionych na uprawę żołądka okopowców zaciążyły nam.

MOŻLIWOŚCI UPRAWY LNU

Nie będziemy rozpatrywać możliwości uprawy rzepaku i konopi gdyż warunki naturalne nie są dla nich specjalnie sprzyjające. Natomiast należy podnieść kwestię uprawy lnu.

Problem niechęci ludności do tego rodzaju uprawy opada. Przeciwnie rolnicy, którzy napłynęli z za Buga szczególnie z Wileńszczyzny obeznani są z uprawą i przerobką lnu. Lekkie zaś gleby w pobliżu jezior, tak mało wydajne przy uprawie innych zbóż nadają się specjalnie do uprawy lnu.

Ażeby móc osiągnąć wysoką produkcję roślinną musimy zadoczyć wymaganiom: 1) dokładnej uprawy mechanicznej 2) potrzebom nawożenia mineralnego oraz naturalnego; wreszcie szerokim i umiejętnym stosowaniem: poplonów, nawozów zielonych oraz uprawą lubinową.

Nieodzownym warunkiem dokładnej i terminowej uprawy mechanicznej to zapożyczenie rolników w sprzężaj oraz siłę pociągową motorową.

Terminowe wykonanie upraw jest na Pomorzu Zachodnim tym ważniejsze, że warunki klimatyczne wyznaczają stosunkowo krótki okres trwania robot pólnych.

Należy przypuścić, że coraz powszechniejsze użycie siły motorowej w zakresie orki umożliwi utrzymanie norm sprzężaju w wysokości 9-10 sztuk koni dorosłych na sto ha użytków rolnych. Naturalnie ilość ta będzie wystarczającą w normalnych warunkach gospodarowania, zakładając że zagadnienia likwidacji odłogów

będzie pozytywnie załatwione w ramach akcji specjalnie w tym celu przeprowadzanych.

NAWOŻENIE ROLI

Pierwszorządnej wagi jest zagadnienie nawożenia roli, które to na Pomorzu Szczecińskim posiada tym donioslejszą wagę; na skutek wysuszenia znacznej części gleb lekkich — piaszczystych.

Mimo swojej struktury, gleby Pomorza Zachodniego mogą dawać wysokie plony dzięki stosowaniu dużych dawek nawozów sztucznych. Przekładowo podamy, że w latach 1931/38 zużyto na obszarze dzisiejszego województwa około 20 kilo azotu oraz 43,5 kilo potasu na ha.

Trzeba jednak pamiętać, że stosowanie nawozów sztucznych najlepiej się opłaca na glebach najcięższych, opłacie i konieczne jest na glebach średnich. Dlatego więc rozsowne nawożenie gleb słałych musi być prowadzone przy ostrożnej i przewidującej kalkulacji, nie dopuszczając do niemożliwego stanu subsydiowania produkcji rolnej zgóry powiększaniem ponoszenia strat.

Na Pomorzu Zachodnim wiąże się to zagadnienie z wydzieleniem kategorii gleb najsłabszych o najmniejszej żyzności produkcyjnej z planu zagospodarowania rolniczego terenu i przeznaczania ich na zaroszenie. Tego typu gruntów mamy na terenie naszego województwa około 100.000 ha.

Najwłaściwszą metodą podniesienia oraz utrzymania na poziomie żyzności tutejszych gleb, to używanie dużych dawek obornika w połączeniu z szerokim stosowaniem poplonów, nawozów zielonych oraz lubinu.

Tą drogą intensywnego nawożenia możemy doprowadzić do poprawy jakości gleb lekkich, osiągając jednocześnie wysoki przeciętny wydajność plonów z ha. Dla orientacji podajemy zbiory i wydajności z ha wazniejszych ziemiopłodów w okresie 1931/32 na terenie dzisiejszego Pomorza Zachodniego.

Roślina uprawna	Zbiór w q	Wydajność w q z ha
ziemniaki	56 ml.	190
bur. cukr.	2 "	335
żyto	7 "	15
owies	4 "	19
jęczmień	1 "	10
pszenica	0,7 "	18
miesz. zbożowe	0,4 "	—

Niezmiernie ważnym jest czynnik samego elementu ludzkiego, jego umiejętności i zamiłowanie.

Jeżeli w ogóle przygotowanie fachowe jest w niemiejszym stopniu niż jakość gleb podstawą intensywnego gospodarstwa, to tym bardziej na glebach piaszczystych, których wykorzystanie jest całkowicie zależne od umiejętności fachowych rolnika i nabytej drogą praktyki znajomości uprawianej gleby. Z tego punktu widzenia rolnictwo Pomorza Zachodniego napotyka na specjalne trudności. Brak doświadczenia rolnika polskiego w gospodarowaniu na glebach Pomorza Zachodniego musi być uzupełniony przez specjalnie intensywną akcją stacji doświadczalnych, których zdobycze naukowe winny być bezwzględnie przekazywane rolnikom praktykowi przez jak najgłębszą rozciągniętą sieć ośrodków oświaty rolniczej.

Z PRASY MORSKIEJ

„MORSKI PRZEGLĄD GOSPODARCZY“

Nowy numer „Morskiego Przeglądu Gospodarczego“ przynosi m. in. artykuł w. Górkowej, poświęcony zagadnieniu specjalizacji wielkich portów polskich, omawiając ten problem w Górkowej, stwierdza za prof. Ucioszynskim, że przedwojenna niezwykle niska — w porównaniu z innymi państwami — w miana zagraniczna naszego kraju była symbolem polskiej słabości gospodarczej i oznaką prymitywu gospodarczego i oznaką prymitywu gospodarczego, typową dla krajów o znacznej przewadze rolniczej. Charakterystyczne cechy tej wymiany, jak przewaga ładunków masowych, przewaga importu nad eksportem i przewaga ładunków regionu bałtyckiego, wprowadza na razie odziedziczone przez nas, w miarę strukturalnego przekształcenia się gospodarstwa polskiego w przemysłowo-rolnicze w rezultacie rewolucyjnej zmiany granic państwa, muszą ustąpić miejsca kompetentniejszemu układowi naszej wymiany handlowej, również udział handlu morskiego w obrocie handlu zagranicznego, w wysokości 10 proc. przed wojną, przesunąć się przypuszczalnie na korzyść wymiany na odcieku łąkowej, ze względu na same uaktywnienie handlu z rosją. Prymityw gospodarczy kraju wybitnie rolniczy musi ustąpić miejsca nowym aspektom wymiany zagranicznej, wobec przekształcenia się na charakter bardziej przemysłowy, a to musi stworzyć nowe kryteria dla przewidywanego dotychczas handlu zagranicznego“.

„ZEGLARZ“

Kwietniowa dla młodzieży, poświęconego pracy na morzu) przynosi w artykule naczelnym szereg postawowych wiadomości o portach, zegludzie i rybołówstwie. „Zeglarz“, jak już kiedyś zaznaczyliśmy — spełniać może nie tylko rolę kształcenia młodzieży; powinien on być czytany również przez starszych, każdy bowiem numer układany jest pod szerszym kątem widzenia upowszechnienia głównych pojęć, związanych z morzem i gospodarką morską.

Na dalszych stronach numeru — o bok działu, zawierającego dokończenie prowadzonego przez „Zeglarza“ kursu korespondencyjnego — znajdujemy artykuł o budownictwie statków handlowych oraz interesujące informacje o zastosowaniu radaru w portach — co umozliwia w najgorszą nawet pogodę wprawdanie i wyprowadzanie statków z portu. J.

UWAGI

JESZCZE W SPRAWIE BISKUPSTWA W KAMIENIU

W związku z uwagą p. A. Porojścia „Biskupstwo w Kamieniu“, zamieszczoną w tyg. „Szczecin“ Nr. 15-16 z dn. 18. IV. 1940, czuję się w obowiązku wyjaśnić, że chociaż pod względem faktycznym p. Porojście isornie ma rację co do daty przeniesienia biskupstwa do kamienia, to jednak niesłusznie stawia mi zarzut, iż zaniedbałem „logikę badań naukowych“ operując się jedynie na informacjach ks. Lżekana z Kamienia. Dane bowiem historyczne do mego artykułu czerpałem z monografii prof. St. Srokowskiego: „Pomorze Zachodnie“ (wydanej w r. 1947 przez Instytut Bałtycki), w której m. in. na str. 120-127 jest napisane, iż „...Wolm wskutek najazdu Dunczyków... został tak silnie zniszczony, że w r. 1139 okazała się potrzebna przeniesienia stolicy biskupstwa do kamienia.“

Przyznaję się, że polegając na autorzytacie naukowym prof. Srokowskiego, nie kwestionowałem prawdziwości tej daty, która jednak po sprawdzeniu okazała się rzeczywiście błędna i jest zgodna z daną podaną przez p. Porojścia (1173 r.) Jest bezwzględnie zasługą p. Porojścia, iż zauważył ten błąd, ale z drugiej strony trudno autorowi artykułu popularno-naukowego podawać w wątpliwości wiarygodność wszystkich dat historycznych, podanych w poważnych monografiach. Dr Przewdzic-Lachman



Wiosna na Pomorzu Zachodnim



60 POWSZECHNYCH DOMÓW TOWAROWYCH

CZYNNYCH

NA TERENIE RZECZYPOSPOLITEJ

SZCZECIN, ALEJA NIEPODLEGŁOŚCI 1.

ARTYKUŁY:

1. Spożywcze
2. Monopolowe
3. Włókiennicze
4. Konfekcja
5. Obuwie i galanteria skórzana
6. Kosmetyka
7. Szkło i porcelana
8. Artykuły gospodarstwa domowego
9. Materiały piśmienne i przybory szkolne
10. Meble
11. Sport
12. Zabawki

Normalizują ceny rynkowe

P. D. H.

Bronią interesów świata pracy

Wzmianka o przetargu

Szczecińska Dyrekcja Odbudowy ogłasza przetarg na wykonanie robót remontowych — budowlanych auli w gmachu Liceum i Gimnazjum Żeńskiego przy Al. Piastów w Szczecinie.

Termin składania ofert oraz 2% wadium ofertowego upływa dnia 22 maja b. r. do godz. 10-tej.

Podkłádki ofertowe oraz informacje otrzymywać można w S.D.O. przy Pl. Żołnierza Polskiego Nr 16 pokój Nr 10.

Szczecińska Dyrekcja Odbudowy.

Przetarg nieograniczony Nr. 148

Szczeciński Urząd Morski ogłasza przetarg nieograniczony na wykonanie zbiornika żelbetowego dla Chłodni Rybnej na Łasztowni w Szczecinie.

Wszelkie informacje oraz ślepe kosztorysy i formularze otrzymać można za zwrotem kosztów w Dyrekcji Technicznej SUM, ul. Jacka Malczewskiego 34 do dnia 31 maja br. do godz. 15,00. Oferty zalakowane bez firmy z napisem jak wyżej należy składać w Dyrekcji Technicznej SUM do dnia 1 czerwca br. do godz. 11,45. Otwarcie ofert nastąpi w dniu 1 czerwca br. o godz. 12,00 w Dyrekcji Technicznej SUM, ul. Jacka Malczewskiego 34.

Do ofert należy dołączyć kwit kasy i Urzędu Skarbowego w Szczecinie na wpłacone na rachunek depozytowy Szczecińskiego Urzędu Morskiego wadium przetargowe w wysokości 2% sumy oferowanej. Zezwala się również na złożenie wadium w postaci gwarancji bankowej lub innych walorów zgodnie z zarządzeniem Ministra Skarbu z dnia 25 listopada 1947 r.

Szczeciński Urząd Morski zastrzega sobie prawo wyboru przedsiębiorcy bez względu na cenę, prawo podziału roboty między poszczególnych oferentów oraz prawo uznania, że przetarg nie dał dodatniego wyniku.

SZCZECIŃSKI URZĄD MORSKI

Reprezentacyjny Lokal Spółdzielczy Szczecina

Plac Stalina

„Europa“

Plac Stalina

Bar kawowy

Gospoda rybna

Restauracja

Codzień koncertuje znakomity zespół solistów
pod kierownictwem Zakrzewskiego

Polecamy wymienite i tanie

Śniadania

Obiady

Kolacje

STOCZNIE SZWEDZKIE W LATACH 1944-47 R.

Najnowocześniejszy przemysł okrętowy na Bałtyku

Praca Polski na Bałtyku jest nie tylko rekonstrukcją skromnego stanu przedwojennego, ale budową nowego, potężnego i różnorodnego aparatu działalności człowieka we wszystkich dziedzinach morskich. Przeładunek towarów, budowa statków, żegluga i przemysł wybrzeża wymagają nowych, fachowych pracowników, którzy muszą starać się dorównać obcym, aby dzieło mogło dać jaknajefektywniejsze rezultaty.

Na razie pierwszym naszym zadaniem jest uczyć się jaknajpilniej od naszych sąsiadów morskich, szczególnie skandynewskich, którzy dzielnie dotrzymują kroku mocarstwu morskim, a nawet pod niektórymi względami je przewyższają.

Szczególnie wiele możemy się nauczyć od Szwedów z którymi nawiązujemy coraz bliższe kontakty handlowe. Warto więc przypatrzeć się kilku fragmentom pracy morskiej tego nielicznego, a tak bardzo aktywnego narodu. Bez przesady możemy dziś powiedzieć, że Szwecja ma najnowocześniejszy i najbardziej rozbudowany przemysł okrętowy na Bałtyku, wielu wybitnych konstruktorów okrętowych, których cechuje śmiałość i oryginalność pomysłów a przede wszystkim zdolność przystosowania wszelkich zdobyczy techniki okrętowej do warunków bałtyckich. Szwedzka flota handlowa należy do największych, najnowocześniejszych i najrentowniejszych flot świata, przy czym ubytek wojenny (około 800.000 ton brutto) został z nawiązką nadrobiony przez nowe budowe. Dzięki temu już od chwili zakończenia działań wojennych statki szwedzkie podjęły ożywioną żeglugę na wielu liniach europejskich i pozaeuropejskich, uzyskując od razu przewagę nad amerykańskimi jednostkami standardowych typów.

TANKOWCE — OLBZRZYMY

Szwedzkie stocznie uzyskały szereg pięknych osiągnięć zarówno w dziale statków pasażerskich i drobnicowych, ale także tankowców i rybackich. Przyjrzyjmy się na wstępie produktom stoczni Götaverken, która wykonała szereg zamówień dla marynarki handlowej i wojennej. Już w r. 1944 notujemy wybitne osiągnięcia konstrukcyjne. I tak w sierpniu wodowano duży tankowiec „Balaklara” o nośności 12.730 ton DW, wyposażony w motor dieslowy o mocy 5.200 KM, który umożliwia osiągnięcie szybkości 13 węzłów. Jest to dwudziesty dziewiąty statek wybudowany przez Götaverken, która wniosła ogółem 264.000 ton DW. We wrześniu spuszczone na wodę drugi większy tankowiec „Constance” (17.500 ton DW). Ale Szwedzi nie poprzestali nawet na tej wielkości. Zbudowali tankowce-olbrzymy przekraczające 20.000 ton DW.

Celem budowniczych szwedzkich było nie tylko zwiększenie nośności nowych budowli, ale opracowywanie rentownych statków o typie mieszanym. Warto tu wymienić oryginalny transportowiec i zarazem tankowiec „Rautus” o nośności 12.100 ton. Statek posiada cztery ładownie do magazynowania towarów, a ponadto szesnaście zbiorników na ropę. Tankowce odegrały już poważną rolę w czasie wojny, przewożąc znaczne ilości ropy naftowej na wszystkie fronty świata, gdzie czekały na nią tysiące czołgów, samolotów i innych pojazdów mechanicznych. Dlatego też Niemcy ze szczególną zaciekleścią zwalczali statki wiozące ropę i poczynili istotnie duże szczyby wśród nich. Już w okresie wojny także usiłowano

powiększyć liczbę tankowców jak i udoskonalić ich cechy zwłaszcza szybkość i nośność.

Szwecja budowała wielkie tankowce nie tylko dla siebie, ale i dla państw neutralnych jak np. Argentyny, które nie mogłyby uzyskać inaczej ropy jak tylko dostarczając po nią własne jednostki. Zaciekleść niemiecka kazała także topić i te ostatnie i stąd zatonął m. in. wybudowany w Szwecji nowoczesny tankowiec „Buenos Aires”.

Obecnie rola tankowców się zmieniła, ale znaczenie nie zmniejszyło się

bynajmniej. Sprawa odbudowy Europy wymaga wielkich dostaw ropy dla maszyn pomocniczych, pojazdów i ruszających fabryk. Tak więc tankowce szwedzkie mają szerokie pole do działania.

STATKI WIELORYBNICZE

Innym działem budownictwa okrętowego Szwecji a zwłaszcza stoczni Kockum w Malmoe jest konstrukcja statków wielorybniczych przeznaczonych głównie dla Norwegii. W ub. roku wybudowano aż trzy olbrzymie „Kosmos

I”, „Kosmos II” i „Kosmos III”, które dochodzą do 25.000 ton brutto i stanowią prawdziwie pływające fabryki, w których przerabia się tłuszcz złowionych wielorybów na północnym czy południowym Arktyku. Dotąd prym wielkości w dziale statków wielorybniczych dźwżył „Unitas” zbudowany w Niemczech o pojemności 22.000 ton, który po wojnie dostał się w ramach reparacji Anglii. Budowle szwedzkie przewyższyły więc i to reklamowane na cały świat dzieło niemieckie.

Szwedzka flota handlowa otrzymała w ub. roku nowy transatlantyk „Stockholm”, który wszedł na linię północnoatlantycką. Jest to jednostka podobna nieco do naszego „Batorego”, ale równa mu pod względem szybkości. Ma 11.000 ton brutto i zabiera 364 pasażerów I i II klasy a 60 pasażerów III klasy. Pływa pomiędzy Goeteborgiem a Nowym Jorkiem. Jest to pierwszy transatlantyk takich rozmiarów zbudowany przez stocznię szwedzką. Decyzja ta nastąpiła po spaleniu się w stoczni Monfalcone we Włoszech, tej samej co budowała nasze transatlantyki „Piłsudski” i „Batory”, statku „Stockholm I” o 25.000 ton pojemności (wypadek miał miejsce w r. 1938) i po sprzedaniu w czasie wojny Stanom Zjednoczonym starego transatlantyka „Kungsholm” o pojemności 20.000 ton, który zresztą został zatopiony.

Oprócz transatlantyka, Szwecja wybudowała szereg mniejszych statków pasażerskich, z których warto wymienić „Sage” (6.000 ton brutto) pływającą między Goeteborgiem a Londynem, a która zabiera po 400 pasażerów. Oryginalnym „mieszanicem” pasażersko-towarowym jest motorowiec „Venezuela” (7.500 ton brutto), który obok ładowni ma kabiny komfortowe dla 30 pasażerów.

Trudno by wymienić rozliczne typy statków towarowych, które w coraz większej liczbie opuszczają stocznię szwedzką, by wejść na światowe linie żeglugowe. Obserwujemy jednak wyraźną tendencję do budowy motorowców na niekorzyść parowców. W tym dziale Szwedzi skonstruowali jedną wspaniałą jednostkę towarową, która zastępuje stanowczo na wymienienie. Jest to „Nordstrjerman” statek o pojemności 9.000 ton brutto, który wyciąga olbrzymią, jak na statki towarowe szybkość 19 węzłów i to dzięki motorom spalinowym.

66 STATKÓW W BUDOWIE

W ten sposób przedstawiliśmy w najpobieżniejszym przeglądzie niektóre osiągnięcia szwedzkiego budownictwa okrętowego, które stale się rozwija. W chwili obecnej na stocznich szwedzkich znajduje się w budowie 66 nowych statków o łącznej pojemności ponad ćwierć miliona ton brutto, z przewagą tankowców.

Rezultaty powyższe zostały osiągnięte po wytrwałej wieloletniej pracy, po wielu próbach i doświadczeniach i dzięki stałym kontaktom z ośrodkami przemysłu okrętowego na całym świecie. Niech ten mały naród skandynewski będzie dla nas przykładem, jego wysiłki bodźcem do systematycznej rozbudowy własnej floty handlowej, która powinna ograniczyć w znacznym stopniu udział obcych bander w przewozach z Polski i do Polski.

JÓZEF MODRZEJEWSKI

Korespondencja

O pochodzeniu nazwy „Szczecin”

Interesujące i pełne uroku są rozważania prof. Stanisława Urbańczyka na temat pochodzenia nazwy Szczecin w artykule pt. „Wycieczka po Pomorzu z językoznawcą” („Szczecin” Nr 15/16 z dn. 18. IV. 1948). Prof. Urbańczyk przytacza mianowicie dwie hipotezy: jedną, tradycyjną niejako tłumaczącą pochodzenie tej nazwy od człowieka imieniem SZCZOTA lub SZCZEC i drugą prof. Rosponda, według którego Szczecin jest niemieckim zniekształceniem SZCZYTNA.

Obie wersje są jednak na tyle dowolne, że trudno się na nich oprzeć. Pierwsza wydaje się upraszczać zagadnienie przez stworzenie postaci legendarnej, analogicznej do tych, do których według podań miały wziąć swe nazwy inne miasta polskie, jak Warszawa (od Warsz i Sawy) lub Kraków (od Krakusa). Drugą wersją zalicza Szczecin-Szczyt do nazw topograficznych, jako że szczyt oznaczał tarczę lub pagórek, Szczecin zaś rzeczywistości położony jest na terenie pagórkowatym. Jednak słabą stroną tej drugiej jest dość daleka droga, wiodąca od nazwy Szczyt do nazwy Szczecin, mało prawdopodobna, jeśli nawet uwzględnic pośrednictwo kronikarzy niezawsze ścisłych na przestrzeni tysiąclecia.

Skoro tedy obie hipotezy nie są dostatecznie przekonujące, pragnę przytoczyć niemniej interesującą trzecią, mogącą moim zdaniem rywalizować skutecznie z tamtymi. Podaje ją jeden z popularizatorów przeszłości Pomorza Zachodniego, F. Uecker, w pracy zbiorowej pt. „Pomern in Wort und Bild” (Selbstverlag des Pestalozzvereins der Provinz Pommern, Szczecin 1904). Uecker, choć szwajcarski niemiecki, omawia przeszłość Słowian po-

morskich, ich piękne cechy i obyczaje, z tą samą leżką rozrzwienia, z jaką dzisiejsi Amerykanie wspominają wytopionych przez siebie Indian. Otoż Uecker twierdzi, że stara nazwa słowiańska „Stetin” — bo tak przeważnie spotykana jest w kronikach — jest wzorową nazwą topograficzną, charakteryzującą w sposób doskonały, szczególnie Słowianom właściwy, ukształtowanie terenu. Nazwa ta wywodzi się od czasownika „Teti” tj. ciec, płynąć, Stetin więc miał oznaczać miejsce ścieku albo spływu. A ponieważ miasto leży w punkcie gdzie delta Odry spływa siedmiu korytami do jeziora Dąbskiego, więc nazwa byłaby dobrana — trzeba przyznać — świetnie. Warto jednocześnie przypomnieć że nie wszystkie dawne nazwy uległy z biegiem czasu germanizacji. Przykładem może być pobliski Stargard, Wolin, Grabów (dzielnica Szczecina) lub choćby słynna Nowawes pod Berlinem. Zresztą nawet germanizacja nazw słowiańskich następowała nieraz tylko dla ułatwienia wymowy. Tak powstały niemieckie Schapdore (za brodem), Mölln (młyn) liczne końcówki Lanken (łaka) itd. Wice niemiecki Stettin mógł być wywodzić się z dużym prawdopodobieństwem od słowiańskiego Stetina.

Nazwa Stetin brzmi dość obco w języku polskim. Tak jednak nie było w początkach średniowiecza, gdy Polacy mówili językiem bez porównania mniej wyrobionym od dzisiejszego, lecz zato bardzo zbliżonym do języka Pomorzan, a nawet plemion słowiańskich zamieszkałych nad dolną Łabą. Interesujące co do tego ostatniego zagadnienia szczegóły znaleźć można w pracach prof. Tadeusza Lehrsplawieńskiego. Waclaw Kozłowski.



Latarnia morska w Kołobrzegu.

Czesław Piskorski

WOJNA 30-letnia NA POMORZU

Mordy, głód epidemie wyniszczyły 70 % ludności

Okres wojny trzydziestoletniej był dla Pomorza Zachodniego niezwykle ciężki. Przez kilkanaście lat przechodziły przez kraj pulki cesarskie pod wodzą Wallensteina, a potem oddziały szwedzkie, zabierając wszelką żywność, niszcząc pałac i mordując niewinną ludność.

Tragedia mieszkańców Pomorza zaczęła się od pierwszych przemarszów księcia holenderskiego i Mansfelda. Wkrótce potem przybył w te strony Wallenstein prowadząc swoją 40-tysięczną armię, w której skład wchodziły najroźniejszych rodzajów awanturnicy. Wysoki żołd i udział w łupach zachęcił najgorszych rzeźmizców do zaciągania się w szeregi armii, której wódz był twórcą słynnej zasady, że „wojna winna żywić wojnę”. Ideę swą wprowadził Wallenstein po raz pierwszy całkowicie w czyn właśnie na terenie Pomorza Zachodniego. Słaby i schorowany, ówczesny władca Pomorza, Bogusław XIV, który za wszelką cenę usiłował zachować neutralność, musiał wtedy zgodzić się na zakwaterowanie 10 pułków cesarskich. Ciężar ich utrzymania złożono na barki ludu. Dobra książęca, szlacheckie i duchowne miały być wolne od jakichkolwiek obciążeń.

Rozwydrzone żoldactwo Wallensteina nie przestraszało jednak żadnych przepisów. Łupili i grabili oni bezwzględnie wszelkie dobro jakie w swych przemarszach napotkali, nie szczędząc nikogo. Osady i miasta Pomorza Zachodniego zostały strasznie zniszczone, kwitnący dobrobytem kraj zmienił się w ciągu kilkunastu lat w bezładną pustynię. Żołnierze cesarscy dopuszczali się takich bezceństw, gwałtów i mordów, z którymi porównać można chyba tylko zbrodnie hitlerowców z czasów ostatniej wojny.

Bolesław XIV chcąc ograniczyć bezprawia wojsk Wallensteina wystosował do cesarza skargę. Cesarz był zresztą wówczas bezsilny i nie mógł pohamować zdziwiałych żołdaków. W skardze owej książę ocenił zniszczenia dokonane na Pomorzu przez cesarską armię na ogromną naówczas sumę 10 milionów talarów. Skarga nie odniosła żadnego skutku, a tymczasem hordy Wallensteina hulały bezkarnie.

Wsie i miasteczka pomorskie przedstawiały w tych czasach według świadectw współczesnych straszny widok. Na drogach i ulicach leżały trupy pomordowanych mieszkańców. Zwłoki, noszące na sobie ślady tortur, zmiażdżone butami żołnierzy, gniły w przydrożnych kałużach i błocie.

Przed myszkującymi wszędzie żołnierzami nie było nigdzie pewnego schronienia. Zaglądali do każdego zakamarku, bili bydło, a przede wszystkim szukali pieniędzy. Opornym wkręcali palce w lufy muszkietów w ten sposób zmuszając ich do wydania kosztowności i złota. W chwilę po odejściu jednej grupy żołdaków, do domu wieśniaka zachodził inni, żądając tak samo jak poprzedni wydania żywności i pieniędzy. Nie pomagali w takim wypadku żadne tłumaczenia. Mieszkańcy domu poddawani byli przemyślnym torturom, a jeśli to nie dawało wyniku, mordowano ich bezlitośnie. Prawie każdy

rabunek kończył się podpaleniem domostwa. W okolicy Szczecina, okresie wojny trzydziestoletniej nie przetrwała żadna wieża kościelna. Wszystkie kościoły zostały podpalone, a wieże zawałyły się. Naczynia i wszelkie kosztowności kościelne zostały zrabowane. W ornatach, komżach i kapach urządzano procesje, wyszydając obrządku kościelne.

Im więcej zbrodni dokonywano, tym bardziej zacierał się w ludziach głos sumienia. Żoldacy już nie tylko sami zabijali bezbronnych, lecz liściowym ludzom nie pozwalali nieść pomocy rannym. Wyzucone na ulicę ofiary tortur konaty, wzywając napróżno ratunku.

Nawet nad niewinnymi dziećmi pastwili się żołnierze. W miejscowości Pasiwilk, położonej na zachód od Szczecina, dziesięcioro nieletnich dzieci wrzucono do piwnicy i spalono je żywcem.

BOŻENA STĘCZNIIEWSKA

Z dziejów człuchowskiej warowni

Legenda o zakochanym szewczyku

Człuchów jest niewielkim, ale starym miasteczkiem, położonym 15 km. na zachód od Chojnic. Był to gród kasztelański, a od końca XII w. twierdza, zbudowana przez Polaków w celu obrony przed Pomorcami. Wybudowano wtedy oprócz twierdzy w Człuchowie kilka innych w Słupsku, Chojnicach i Tucholi. Twierdza człuchowska była trudna do zdobycia, ale ze względu na jej duże znaczenie strategiczne każdorazowy władca kraju okolicznego dążył przede wszystkim do opanowania Człuchowa.

W pierwszych latach XIV w. ówczesny władca Człuchowa, comes Mikołaj, sprzedał miasto wraz z okolicą, Krzyżakom. Wkrótce wybudowali oni tam silny zamek nad jeziorem. Wieża jego, doskonale zachowana, dziś jeszcze panuje nad miasteczkiem.

Krzyżacka warownia w Człuchowie uchodziła po Malborku za najsilniejszą twierdzę. Z trzech stron otoczona była jeziorami i trzęsawiskami, które utrudniały ataki nieprzyjacielskie. Tylko czwarta strona twierdzy nie osłonięta była żadną przeszkodą naturalną i z tej strony też zwykle przedsiębrano próby wdarcia się w mury. Jednak i to zadanie było bardzo trudne i łatwiej jakimś podstępem zdobyć było twierdzę niż bezpośrednim szturmem.

Grube mury warowni chroniła z tej strony potężna fosa, wypełniona wodą z jeziora. Szerokość jej — jak dziś jeszcze można bez trudu zmierzyć — wynosiła 30 m, a głębokość 5 m. Przez fosę przerzucony był most zwodzony, który podniesiony podczas niebezpieczeństwa uniemożliwiał dostęp do zamku. Jednak przedostanie się przez most zwodzony na drugą stronę fosy nie otwierało jeszcze napastnikom bezpośredniego dostępu do twierdzy. Znajdowali się oni teraz dopiero na terenie t. zw. drugiego przedzamcza, z którego do właściwej warowni przetrzucona była na wysokości 16 m wąska kładka, po której przechodzić mógł tylko jeden człowiek. Praktycznie więc zdobycie zamku od tej strony było prawie niemożliwe. Stosunkowo najsłabsza była następna strona murów, chroniona tylko fosą, prawdopodobnie suchą. Trzeba jednak pamiętać, że na murach stało 1.000 obrońców, którzy nieszczędzili kamieni, smoly i wrzółki, by odeprzeć szturmujących.

Z zabudowań zamku zachowała się do dzisiaj tylko potężna wieża, 46 metrowej wysokości. Za czasów średniowiecznych zabudowania wewnątrz murów rozplanowane były w kształcie czworokąta. Bezpośrednio z wieżą łączył się kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Kościół ten istnieje i dziś jednak jest to już budowla nowa, wzniesiona tylko na starych

czasami największej udreki byłaby lata 1635 — 1638; po śmierci ostatniego księcia pomorskiego, Bogusława XIV zaczął dochodzić swoich praw do Pomorza książę brandenburski, wszczynając spór ze Szwedami, którzy stali się już faktycznymi władcami kraju. W następnych latach straszny ucisk zmniejszył się trochę, lecz grabieże, pożary i mordy powtarzały się aż do roku 1648, tj. do chwili zawarcia pokoju westfalskiego.

Kraj był po długoletnich walkach i rekwiwizjach w ruinie. Liczne wioski wyludniły się całkowicie. Około 70 procent ludności zginęło z rąk grasujących band żoldackich lub na skutek głodu, chorób i zarazy. Brakowało rąk roboczych do pracy. Zagony długie jeszcze lata leżały nieobsiane. Kraj bardzo powoli dźwigał się z ruiny i zaczynał się ożywiać. Jeszcze w ostatnim dziesięcioleciu

XVIII wieku nie rzadko można było spotkać wioski, przed wojną kwitnące i ludne, a teraz puste i obumarłe. Handel nie mógł się również rozwijać. Czasy były nadal niespokojne, a na drogach grasowali rozbójnicy, rekrutujący się z resztek awanturniczej armii Wallensteina. Wobec takich stosunków żaden kupiec nie odważył się zapuszczać w pomorskie dziedziny.

Wiele lat minęło zanim ziemie Pomorza Zachodniego zaczęły się rozwijać. Musiało najpierw wyrosnąć nowe pokolenie ludzkie, które mogło podjąć pracę na roli. Stabilizujące się stosunki przyczyniły się do rozwoju handlu, a w związku z tym wzrostu dobrobytu. W każdym razie pamiętać należy, że wojna trzydziestoletnia była to najstraszniejszy okres w historii Pomorza Zachodniego.

fundamentach. Naprzeciw kościoła znajdowały się mieszkania rycerzy zakonnych. Wzdłuż dwóch pozostałych woli murów mieściły się różnego rodzaju warszaty: piekarnia, kuźnia, winiarnia, piwiarnia itd. Zamek był samowystarczalny i rzemieślnicy sporządzali wszystkie potrzebne rzeczy na miejscu.

W sposób najbardziej warowny zbudowana jest wieża. Mury jej mają u podstawy grubość 5 metrów. Zaden średniowieczny taran ani działa miotające kamienne kule nie mogły jej zagrażać. Ciasne schody w grubym murze prowadzą na szczyt. Średnica wewnętrzna wieży wynosi około 7 m. Wewnątrz, pod szczytem, wybudowany jest komin, przy którym zapewne w chłodne jesienne i zimowe noce grzali się zbiegnięci wojownicy. Ze szczytu wieży rozciąga się rozległy widok na okolicę. Za czasów krzyżackich wieża zakończona była miała pozłacaną kopułą. Jak głosi podanie została ona razu pewnego strącona podczas burzy przez piorun do jeziora, gdzie leży do dni dzisiejszych...

Kilka metrów poniżej szczytu wieży wmurowany jest od zewnętrznej strony wielki wystający kamień. Budownicy wieży nie mogli go podobno w żaden sposób wyciągnąć na górę i dopiero po nabożeństwie odprawionym do Najświętszej Marii Panny kilku ludzi z łatwością podniosło go na wysokość około 40 m. Inną jeszcze legendę wiąże lud miejscowy z owym wielkim kamieniem niewiadomo w jakim celu wmurowanym w wieżę!

Pewien szewc z miasteczka zakochał się bez pamięci w pięknej kasztelanice, która była mu wzięmą. Gdy o tym dowiedział się ojciec kasztelana, kazał ukarać szewczyka za jego „zuchwałą” miłość. Sąd skazał go na śmierć. Na prośby — być może zakochanej kasztelanicy, sędziowie zostawili mu nikłą możliwość uratowania życia. Wyrok brzmiał: Jeśli oskarżony szewc zrobi parę butów, siedząc na wystającym z wieży kamieniu, będzie wolny.

Odważny szewc wyszedł na kamień i praca szła mu bardzo składnie. Kiedy już miał wbić ostatni gwóźdź do buta, wypadł mu z ręki młotek. Spojrzał za spadającym narzędziem i wtedy stracił równowagę. Spadł na ziemię, zabijając się na miejscu, ku rozpaczy pięknej kasztelanicy.

U stóp wieży jest wejście do lochów. Podobno ciągną się one kilkanaście kilometrów aż do Frydłądu. W ubiegłym roku odważni strażacy człuchowscy postanowili zbadać rozległe lochy. Wąziutkim wejściem, przez które z trudem można przecisnąć ramiona, spuścili się do podziemnych korytarzy. W wyniku wyprawy znaleziono kilka przedmiotów, mię-

stety brak tlenu uniemożliwił dalsze zapuszczanie się w tajemnicze podziemia. Może kiedyś, gdy człuchowska straż pożarna posiadać będzie własny aparat tlenowy, wyprawa do lochów krzyżackiego zamku pozwoli na zbadanie ich tajemnic.

Człuchów posiada jeszcze jeden ważny zabytek. Jest nim kościół zbudowany przez księcia pomorskiego, Mszczuja I. Zachowały się z przastarej budowli do dnia dzisiejszego tylko fragmenty. Zachował się m. in. portret jakiegoś Radziwiłła w bocznej kapliczce i herb radziwiłłowski w ołtarzu. Ze starostwa człuchowskiego przez 100 lat, w XVII i pierwszej połowie XVIII wieku ciągnęli zyski Radziwiłłowie i po nich to pozostała ta pamiątka polskości w parafialnym kościele. Poza tymi martwymi dowodami, że kiedyś żyli tu i panowali Polacy, mamy najważniejszą, bo żywe dokumenty polskości tych ziem, a są nimi Kaszubi człuchowscy, którzy przetrwali długie wieki germanizacji.

AGENCJA REKLAMY

Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41

Zatwiera

fachowo i sprężyście

reklamy:

prasowe

ekranowe

w tramwajach

na słupach

na pilonach świetlnych

Telefon 21-45

Wieczór Sartre'owski

W przerwie między jednoaktówkami Sartre'a „Przy drzwiach zamkniętych” i „Ladacznica z zasadami” większość widzów robiła wrażenie ogłuszonych, a tylko nieliczni dyskutowali zawzięcie. Prawdopodobnie nawet nie nad Sartre'm bo o nim sądy są już ustalone, lecz nad szumnym zdaniem programu teatralnego: „Po raz pierwszy w Szczecinie ukazują się na afiszu teatralnym nazwisko autora, którego wystąpienia są szeroko komentowane nie tylko we Francji, ale i na całym świecie”. Czy naprawdę owe jednoaktówki Sartre'a to taki świeży, powiew sztuki, czy może stęchły odór „zgniętego” Zachodu?

Sartre dla smakoszy, znawców kierunków literackich i filozoficznych — nie przeczę — może być niezmiernie interesujący. Można dłań znaleźć wcale piękne i ciekawe konsekwencje literackie. Wystawienie tych dwóch jednoaktówek byłoby dla Teatru Polskiego wtedy dopiero osiągnięciem, gdyby zdołał wywyższyć się w wypełnieniu podstawowych obowiązków repertuarowych, gdyby nowości teatralne Polski i świata naprawdę gościły na jego deskach scenicznych. Skoro jednak tak nie jest, skoro „Dom pod Oświęcimem” wystawi nie Teatr Polski lecz amatorska Scena Oświatowa mamy wszelkie prawo przypuszczać, że wystawienie Sartre'a nie jest zapoczątkowaniem nowego kierunku linii repertuarowej teatru lecz jeszcze jedną — jak poprzednie niezbyt fortunną — próbą zdobycia publiczności, tym razem obliczoną na jej snobizm.

Sartre jest usprawiedliwiony tam, gdzie istnieje kilka teatrów, których repertuary wzajemnie się uzupełniają. Na jednym teatrze ciążyą większe obowiązki wychowawcze. Jeśli ich dotąd nie spełnia, to źle. Ale gorzej, jeśli zaczyna wychowywać źle. Skoro bowiem nie

pokazano nam dotąd ani jednego współczesnego utworu radzieckiego, zaledwie jeden polski, ani jednego czeskiego, nie pojmujemy dlaczego mielibyśmy wpadać w zachwyty nad Sartre'm, jakby to on właśnie był szczytem wszystkich teatralnych osiągnięć europejskich.

Z sartre'owską filozofią pesymizmu i nihilizmu rozprawiono się już u nas. My wierzymy w wartość egzystencji ludzkiej, Sartre'a natomiast każe nam wierzyć, że istotą jej jest zadawanie cierpienia innym. Stany psychiczne ukazane przez Sartre'a istnieją, ale wnioski z nich wyciągamy inne niż autor „L'etre et le Néant” tak blisko spokrewnionego z „Sein und Zeit” Heideggera. Niemców — ta postawa filozoficzna doprowadziła do amoku mordów, Sartre — zwolenników swych prowadzi do obłędu — samobójstwa. W „Przy drzwiach zamkniętych” mówi, że najstraszliwszą męką piekła jest przeżywanie po raz wtóry życia, które samo już jest piekłem. W „Ladacznicy z zasadami”, odrzucając wszystkie czynniki organizujące człowieka w społeczeństwo, Sartre stwierdza, że zbiorowość każda to ludzie osieroceni, których inni krzywdzą. Pierwsza jednoaktówka to wykład filozofii egzystencjalizmu, druga to jej zastosowanie na odcinku społecznym, a że obie zrobione są sceniczenie doskonale, nieorientowany widz łatwo może ulec sugestii, że „Przy drzwiach zamkniętych” to sztuka wysoce moralna, „Ladacznica z zasadami” zaś „to jakby nawet nie Sartre” — jak zresztą czytamy w programie. Tam autor stawia nam do wyboru samotność, uprzejmość, milczenie i wiecznie wzajemnie wymienianą między sobą rolę katowanego i kata; tutaj prawdę ludzi samotnych, prostych i sprawiedliwych i prawdę senatora Clarka i narodu,

„prawdę wyższego rzędu”. Wybór każdego dokonamy, będzie zły. To Sartre.

Wystawienie Sartre'a w Szczecinie uważam za nieporozumienie, bo nie posądzam Teatru Polskiego o świadomą propagandę destrukcyjnego światopoglądu, sprzecznego i z katolicyzmem i z marksizmem. U nas esencja zawsze będzie górowała nad egzystencją.

Ideowa strona Widowiska Sartre'owskiego nie rzuca mi większego powodzenia. Znacznie lepiej natomiast przedstawia się jego wartość sceniczna. Reżyser p. Lotar lubi trudne zadania. „Przy drzwiach zamkniętych” kusi do eksperymentowania. Można je grać jako wykład filozoficzny i jako dramat psychologiczny trojga osób. P. Lotarowi sugerowano nawet podobno komediową koncepcję inscenizacyjną. Tymczasem połączył on pierwiastki emocjonalne sztuki z ideologicznymi, realistyczne z symbolicznymi, w całość bardzo szczęśliwą i dobrze prezentującą autora.

Mniej szczęśliwie pokonał trudności wypływające z obsady sztuk. W „Przy drzwiach zamkniętych” wiele doskonałych momentów miały Janina Bernas (Stella) i Gozdecka (Inez). Szczególnie dobrze czuła się w swej roli Gozdecka, poza jednym czy dwoma fałszywymi akcentami (lekką nosowo przeciąganie) bardzo przekonująca mimo, że postaci lesbijki — niezupełnie w zgodzie z autorem — dała nieco za wiele deminizmu. Wesołowski (Kelner) mówił wyczerpany tekst bez cienia interpretacji. Widocznie tylko dla przerwania monotoni reżyser kazał mu ni stąd ni zowąd przejść w prawy róg sceny. Również Zieliński (Garcin) nie wypełnił po-

zadaniem naszym niezmiernie cenną wskazówką, wysnutą z autentycznego wspomnienia autora: „Kiedy nasze oddziały, w 1940 r., były wystawione po raz pierwszy na ataki samolotów pikujących, działających strasliwie na morale bezradnego żołnierza, przyszedł do naszej jednostki okólnik Sztabu Generalnego, w którym po raz pierwszy doszukałem się śladów znajomości psychologów i który w przybliżeniu brzmiał następująco: „Najgorszą rzeczą dla człowieka zaatakowanego, jest nie nie robić. To łamie jego odporność. Za wszelką cenę trzeba nakazać naszym ludziom, aby strzelali do samolotów, które ich atakują. Jeśli chodzi o samoloty, to nie wiele im to zaszkodzi, lecz jeśli chodzi o ludzi pomoże to im wytrzymać uderzenie.” O to chodzi. Trzeba potrafić wytrzymać uderzenie. Przecież w zasadzie walka dzieł toczy się o to, czy uda się złamać odporność szerokiej mas. Bo trudno i darmo. Żeby ktoś chciał i nadchciał — nie będzie wojny, o ile nie uda się rozhuścić społeczeństwu Ameryki i Europy. „...czas by nam zorganizować zespół ludzi dobrej myśli, więcej nawet, bo nie idzie tu o marzenie — zastęp bojowników nadziei” — mówi dalej Mounier, apelując o stworzenie jakby międzynarodówki intelektualistów, do wspólnej walki o pokój. Tak, tak. Nie zapominajmy, że po drugiej stronie barykady są tacy jak Hemingway, Steinbeck, Caldwell, Faulkner, Priestley. To przecież sojusznicy. We Francji po to za Giradoux, Blouard'em i Mounier'em — cały legion. A nawet w Niemczech, że wspomnieliśmy choćby Erika Mann... Więc niech się organizują niech skrzykują i piszą, mówią, piszą, mówią... Jeszcze czas. Nie za późno. H. A. RAP

W. Lachnitt.

Zagadnienia tygodnia

Na wstępie będzie podzwonne. Jeśli nie rozdzieramy szat i nie uderzamy w lament, to dlatego, że wiemy, iż pewne „zjeszcia”, czy „odejścia” są pozytywne i konieczne. Dla tego też, żegnając tytuł naszej rubryki nie uronimy ani jednej łezki — przeczenie, panichide odbywamy w nastroju ulgi z głębokim przeświadczeniem o słuszności „pouziętej” decyzji. Przyczyn było kilka... O najważniejszych pomówimy.

Nie trzeba było zbyt długo czekać, aby się przekonać o słuszności przysłowa że „co nagle — to po diable”. Bo rychło się okazało, że tytuł naszej rubryki — „Porachunki Tygodniowe”, wymyślony na „lap-cap” w ostatniej chwili, kiedy pierwszy felieton w numerze świątecznym szedł do składki — egzaminu nie zdał. Bo ten tytuł zaciążył i na stylu i na treści. Po prostu zaczęliśmy widnokrąg do ram miejscowego podwórka, a my mamy dalsze zadania i rozleglejsze obowiązki. Więc jeśli „Porachunki” byłyby trafnym tytułem dla felietonisty z prasy codziennej, tym samym nie mogły się ostać w tygodniku, mającym ambicje stałego podnoszenia poziomu. Pierwsze jaskółki, zwiastujące niebezpieczeństwo, dało się zaobserwować już przed paroma tygodniami. Ostatnio — niebezpieczeństwo stało się widoczne. Ale zbyt grubymi nićmi sztyto tę robotę, aby nie upaść na ślad „gdzie pies pogrzebany”. Oto po puszczeniu kilku próbnych balonów, wreszcie otwieracie sprobowano narzucić nam polemikę, przez zaczepki i prostactki, niby to kalambury (takie w wydaniu dla najuboższych duchem), w nadziei — „a może pójda na lep, odpowiedzą, a wtedy dowiedzą się wszyscy,

scy, że jestem, że piszę...” Wiemy, wiemy. Chciało się nas zmusić do wypróżniania poziomu, a wtedy: ty świnią, ja świnią — pocielujmsia. Nie nas brać na takie dowcipy. Nikt odpowiadać nie będzie, ani teraz, ani w przyszłości. Na to, aby polemizować — trzeba mieć partnera, trzeba mieć z kim polemizować. Koniec. Kropka.

„Odrodzenie” z dnia 9. 5. przynosi na pierwszy kolumnie, dwie obok siebie umieszczone niezmiernie charakterystyczne i cenne publikacje. Pierwsza z nich liczy sobie lat siedemnaście i niestety nie straciła na aktualności — druga jest jeszcze „ciepła” — wprost z warsztatu piarskiego. Autorem pierwszej p. t. „Odpowiedź Intelektualistyczna” — Maksym Gorki, a więc materialista; autorem drugiej p. t. „Wojownicy Nadziei” — Emmanuel Mounier — spirytualista.

Jesem jest, że zawsze czuina i trzymająca rękę na pulsie spraw najistotniejszych redakcja „Odrodzenia” tendencyjnie umieściła obie wypowiedzi obok siebie. Potwierdzeniem tego jest kilka słów wstępu, wprowadzającego czytelnika in medias res. Ustęp końcowy przedślowia brzmi następująco:

„Szereg intelektualistów i pisarzy europejskich szuka obecnie dróg porozumienia, współpracy i skupienia sił do walki o pokój i warunki dalszego rozwoju kultury”.

Tak, tak. Dosłownie. W dn. 9. 5. 1948 r., w trzecią rocznicę zawieszenia broni, w trzecią rocznicę od chwili zakończenia, najbardziej gigantycznej masakry zaist-

niała konieczność podjęcia zorganizowanej akcji przeciw nowym pomysłom zbrodniarzy i szaleńców. To co w dn. 9. 5. 1946 r. szeptaly jedynie cichaczem grupki „nieprzejednanych” na konwentyklach, odbywanych w kręgach kawiarnianych stolików, na widok czego — normalny człowiek, śpiącyż do swego codziennego zajęcia — znacząco i z uśmiechem politowania pukał się w czoło, to o czym głośno rozprawiano na ulicy w dn. 9. 5. 1947 r., w dniu 9. 5. 1948 r. — stało się powszechnym tematem urzaskliwej propagandy, chrypiącej w radiowych głośnikach i osnową publicznych przemówień meżów stanu. Więc co — szaleństwo? Nie tylko! Przede wszystkim zbrodnia. Bo zbrodnia jest snucie planów zagłady cywilizacji, a dziś każde dziecko już wie, że nowa wojna to zagłada cywilizacji. Ta zbrodnia dla zmylenia uwagi stamela na koturnach, pomazała wargi frazesem i w zależności od potrzeby deklamuje o obronie wolności, lub płacze nad zagrożeniem europejskiej kultury. A zwykłem, tak zwanemu szaremu człowiekowi przypomina się po prostu, jakże znów aktualny, dawny, sprzed lat dwudziestu wiersz Tuwima.

...wiedz, że to bujda — granda zwykła że im gdzieś nafta z ziemi sikła i obrodziła dolarami”...

Więc przestajemy się dziwić, że aktualne stało się znowu gorzkie zapytanie Gorkiego, rzuczone przed siedemnastu laty: „Czy intelektualści Europy i Ameryki pragną nowej rzezi światowej, która zmniejszy jeszcze bardziej ich liczbę i uczyni ich jeszcze bardziej bezsilnymi?”

Czy pytanie Gorkiego znajduje odzew? Na szczęście tak. Z odpowiedzią śpieszy czołowy intelektualista francuski Emmanuel Mounier, redaktor naczelny miesięcznika „Esprit”. Z pośród wielu myśli w długim artykule przytoczymy —

zdaniami naszym niezmiernie cenną wskazówką, wysnutą z autentycznego wspomnienia autora:

„Kiedy nasze oddziały, w 1940 r., były wystawione po raz pierwszy na ataki samolotów pikujących, działających strasliwie na morale bezradnego żołnierza, przyszedł do naszej jednostki okólnik Sztabu Generalnego, w którym po raz pierwszy doszukałem się śladów znajomości psychologów i który w przybliżeniu brzmiał następująco:

„Najgorszą rzeczą dla człowieka zaatakowanego, jest nie nie robić. To łamie jego odporność. Za wszelką cenę trzeba nakazać naszym ludziom, aby strzelali do samolotów, które ich atakują. Jeśli chodzi o samoloty, to nie wiele im to zaszkodzi, lecz jeśli chodzi o ludzi pomoże to im wytrzymać uderzenie.”

O to chodzi. Trzeba potrafić wytrzymać uderzenie. Przecież w zasadzie walka dzieł toczy się o to, czy uda się złamać odporność szerokiej mas. Bo trudno i darmo. Żeby ktoś chciał i nadchciał — nie będzie wojny, o ile nie uda się rozhuścić społeczeństwu Ameryki i Europy.

„...czas by nam zorganizować zespół ludzi dobrej myśli, więcej nawet, bo nie idzie tu o marzenie — zastęp bojowników nadziei” — mówi dalej Mounier, apelując o stworzenie jakby międzynarodówki intelektualistów, do wspólnej walki o pokój.

Tak, tak. Nie zapominajmy, że po drugiej stronie barykady są tacy jak Hemingway, Steinbeck, Caldwell, Faulkner, Priestley. To przecież sojusznicy. We Francji po to za Giradoux, Blouard'em i Mounier'em — cały legion. A nawet w Niemczech, że wspomnieliśmy choćby Erika Mann...

Więc niech się organizują niech skrzykują i piszą, mówią, piszą, mówią... Jeszcze czas. Nie za późno. H. A. RAP

Redaguje Komitet — Redaktor naczelny przyjmuje od 10—12. Adres Redakcji i Administracji: Szczecin Al. Wojska Polskiego 41 — Redakcja i administracja czynne od godz. 8 — 16. Telefon 21-45. Nadesłanych rękopisów nie zwraca się. Oddział: Józef Lipski, Gdynia, Portowa 8, Tel. 216-85.

Prenumerata. mies. — 80 zł, kwart. — 225 zł, półr. — 440 zł, roczna — 880 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm lamu szer. 63 mm — 100 zł, przetrzagi: 1 mm lamu 63 mm — 100 zł. Strona — 75.000, ½ str. 40.000 zł, ¼ str. 25.000 zł.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Polskie Pismo i Książka” — Szczecin Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 — Tłoczono w Państw. Szcz. Zakł. Graf. w Szczecinie ul. Św. Krzysztofa 7. X-0937